

DZIS: JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V

Warszawa, 7 sierpień 1949 r.

Nr 31 (193)

TREŚĆ NUMERU: Walenty Majdański – Na marginesie wystawy akcji „W”; Juliusz Nowak – Dłużewski – Synteza wiedzy o „Panu Tadeuszu”; Jerzy Andrzej Górski – L' Angelus; Kazimierz Wołkowicz – Cienie o zmierzchu; Stanisław Kolbuszewski – Ksiądz Robak; Karol Kornik – Zagadnienie formy czasopisma; Włodzimierz Wnuk – Kraj tysiąca Jezior i możliwości; Czytelnik uważa, że...

Andrzej Micewski

O NAZWĘ SOCJALIZM

TRUDNOŚCI I OPORY

Skutki zaniedbań katolików na polu społecznym w XIX w. odczuwamy jeszcze stale. Wielki i cenny wysiłek Kościoła w postaci encyklik społecznych nie był wystarczający do ich zażegnania, nie wystarczała na to praca i twórczość społeczna katolików świeckich. Inicjatywa wytyczania kierunkowych przemian społecznych została katolikom wydarta. Największe wysiłki podejmowane w okresie między dwoma ostatnimi wojnami światowymi w XX r., a wysiłki takie były — trzeba to lojalnie podkreślić, nie mogły wyróżnić zaniedbań jeszcze z w. XX. Brakło także w tym okresie katolikom świeckim wielkich ideologów na miarę geniuszy. Brakło twórców całego systemu społecznego, choć byli doskonali i ze wszech miar godni szacunku interpretatorzy i popularyzatorzy pierwszych wypowiedzi, wskazań i sugestii Kościoła w sprawach społecznych. Tymczasem materialisci takich wielkich ideologów mieli. Marks, Engels, Lenin i inni stworzyli niewątpliwie koncepcję całą, wykończoną — stworzyli system i w tym trzeba uznać ich geniusz, choć nie zgadzamy się z ich materializmem filozoficznym, choć jest on dla nas niewyczerpującym poglądem na świat, choć wreszcie musimy z tego tytułu z dużą roztropnością wartościować wszystkie inne społeczne tezy marksizmu, w trosce o czystość naszego spirytualistycznego światopoglądu i realizację warunków społecznych wymaganych przez personalistyczną koncepcję człowieka.

I jest faktem, że materialisci, a konkretnie marksisci, przez nasze zaniedbanie, nieobecność i ospałość na polu społecznym, a dzięki wielkości swoich ideologów i niewątpliwie trafnym ujęciu i zrozumieniu współczesnych tendencji socjologicznych, uchwycili nurt przemian w swe ręce, potępiony system kapitalistyczny usuwają i są twórcami rewolucji. Jest to oczywiste, jednak podkreślam zagadnienie, bo wiąże się z całym szeregiem konsekwencji psychologicznych.

Socjalizm w naszym rozumieniu pojmowany i określaný precyzyjnie, jako tendencja:

1) uspołeczniania środków produkcji,

2) planowego charakteru gospodarki,

3) dążenia do społeczeństwa bezklasowego,

4) internacjonalizmu,

jest tradycyjnie łączony w integralną całość z materializmem filozoficznym. Słowem stawia się znak równania między socjalizmem a marksizmem. Ma to zresztą swoje przyczyny i uzasadnienia, boć przecież marksizm dokonuje dzisiaj na całym świecie tzw. rewolucję socjalistyczną.

Stąd też u ludzi wyznających spirytualistyczny, katolicki pogląd na świat, spotykamy wprost odruchowe opory psychiczne wobec pojęcia socjalizmu, który łączy się dla nich zawsze z materializmem. Często się zdarza, że przyjmują oni wyszczególnione wyżej treści ideowe, które my określamy socjalizmem, ale nie godzą się na tę nazwę. Poza wymienionym łączeniem socjalizmu z materia-

lizmem przyczynia się do tego jeszcze inny czynnik.

Głoszenie ideologii socjalizmu łączy się w pojęciu pewnych katolików z przyjmowaniem odpowiedzialności i aprobatą tworzonej tu i gdzie indziej rewolucyjnie rzeczywistości socjalistycznej. Tymczasem taka tworzona rewolucyjnie, a więc często środkami gwałtownymi, rzeczywistość socjalistyczna może być niezgodna w swym powstawaniu z konkretnymi nakazami chrześcijańskiej moralności życia publicznego. I stajemy przed pytaniem, czy można i należy głosić socjalizm w danej rzeczywistości określonej jako socjalistyczną, jeśli powiedzmy ma się zastrzeżenia do jakiejś instytucji czy praktyk społecznych w tej rzeczywistości istniejących. I wielu na to pytanie odpowiada negatywnie, uważając, że w ten sposób uchylają się od odpowiedzialności za rzeczywistość i zaznaczają swój katolicki do niej stosunek. Że stanowisko takie jest

błędne i że błędne jest sugerowanie się materializmem przy ocenianiu socjalistycznego ustroju społeczno-gospodarczego, będą starał się wykazać w dalszych uwagach.

MATERIALIZM A SOCJALIZM

Ks. dr Jan Piwowarczyk napisał w komentarzu do encykliki „Quadragesimo Anno”, wydanie Verbum, księgarnia i drukarnia „Jedność” w Kielcach MCMXLVI, str. 85, 86 — co następuje:

„To zdecydowane przeciwstawienie sobie „katolicyzmu” i „socjalizmu” jako dwóch sprzecznych ze sobą światopoglądów i systemów myśli, trzeba rozumieć ściśle w duchu poprzednio postawionych przez papieża zasad. Skutkiem tego należy powiedzieć, że przez „socjalizm” jako system myśli sprzeczny z katolicyzmem, rozumie papież marksizm (z powodu materializmu filozoficzne-

go i hitsorycznego — dopisek mój A. M.), a nie socjalizm w ogóle. Że taki jest sens encykliki „Quadragesimo Anno” świadczy stosunek władz kościelnych do angielskiej socjalistycznej „Labour Party”...

Po wyjściu encykliki „Quadragesimo Anno” z odrzuceniem socjalizmu arcybiskupa Westminsteru, kardynał Bourne złożył publiczne oświadczenie, że „tylko niewielu członków Partii Pracy opiera swe żądania reform społecznych na zasadach, które Jego Świątobliwość odrzucił”. Skutkiem czego katolicy angielscy mogą do tej partii należeć. Słowa kard. Bourne'a zamieścił „Osservatore Romano” z dnia 2.7.1931 r., skutkiem czego to oświadczenie może być uznane za zgodne ze stanowiskiem Stolicy Apostolskiej (por. Pieper: „Die Neuordnung der menschlichen Gesellschaft”, Frankfurt a. M., 1932, str. 53; Nell-Breuning: „Die soziale Enzyklika”, l. c., str. 196). „Labour Party” — jak wiadomo — jest jedną z najbardziej znanych partii socjalistycznych i przed r. 1939 należała do międzynarodówki socjalistycznej. Jej socjalizm jednak różni się wybitnie od marksizmu. Niemarksistowskim socjalizmem jest kierunek, który w Belgii reprezentuje znany autor książki o „Psychologii socjalizmu”, Henryk de Man.

Nie brakło także po stronie katolickiej pewnych prób stworzenia jakiegos chrześcijańskiego socjalizmu. Przez pewien czas temu pomysłowi sprzyjał nawet wybitny ekonomista, ks. Henryk Pesch, T. J. (autor pomnikowego dzieła w 5 tomach pt. „Lehrbuch der Nationalökonomie”). W pewnym okresie czasu pojawiły się podobne dążności w Niemczech i Austrii. W Kolonii wychodziło pismo pt. „Das rote Blatt der katholischen Sozialisten” („Czerwone pismo katolickich socjalistów”). W Austrii zaś ks. Pillegler (redaktor miesięcznika dla młodzieży: „Nauland”) w porozumieniu z robotnikiem metalowym Baurem próbował pogodzić socjalizm z katolicyzmem. Próby te były z góry skazane na niepowodzenie ze względu na to, że socjalizm tzw. kontynentalny — w przeciwieństwie do angiel-

Wytyczne

„Społeczeństwo polskie posiada w wyższym stopniu, niż inne narody świadomość wagi zagadnień światopoglądowych. Współistnienie na ziemi polskiej katolicyzmu i marksizmu jest faktem, który nikomu nie nasuwa chęci zacierania różnic, dzielących te światopoglądy. Świadomi katolicy szanują ideowość marksistów i naodwrot świadomi marksisci nie raz podkreślali swój szacunek dla przeżyć religijnych, których podzielić z powodu swoich przekonań nie mogą.

Oprócz jednak odrębności filozoficznych i religijnych między katolikami i marksistami w Polsce, istnieje zagadnienie wspólnej pracy całego narodu nad wspólnymi celami wszystkich Polaków.

Ostatni komunikat Rządu jest sformulowaniem przede wszystkim politycznym. Jego linię stanowi ta sama walka o granice zachodnie i przyszłość Rzeczypospolitej, która dominuje i musi dominować w polityce polskiej w chwili obecnej.

Przeciwko akcentom rewizjonistycznym w politycznych dokumentach Watykańskich protestuje wraz z Rządem cały naród, bez podziału na wierzących i niewierzących. Poza tym niezależnie od prymatu zagadnień światopoglądowych dyskutować nad nimi w Polsce możemy z odpowiedzialnością dopiero wtedy, gdy się pracuje nad budową i odbudową tej Polski.

I dlatego mówimy to jasno: wszystko, co się jedności pracującego narodu sprzeciwia, jest złe dla interesów polskich i katolickich zarazem. Nikt bowiem nie wytłumaczy, że między świadomie wyznawaną religią katolicką a interesami Polski może być sprzeczność.

Nikt nam także nie wytłumaczy, że Krytyka politycznych skutków oświadczenia Kurii Rzymskiej jest w jakikolwiek sposób naruszeniem obowiązującego wszystkich katolików posłuszeństwa wobec Papieża jako Kapłana, zastępującego Chrystusa na Ziemi.

Problem troski o przyszłość światopoglądu katolickiego w Polsce jest dla nas katolików świeckich zagadnieniem jak największej aktywności mas katolickich w dziedzinie reform społecznych i budowania potencjału gospodarczego.

Dlatego też nie wojna światopoglądowa, ale sumienie praktykujących katolików i sumienie spowiedników będą wytyczną postępowania. Dlatego też z radością witamy wiadomość o zapowiedzianych komisyjnych rozmowach przedstawicieli Rządu z przedstawicielami Dostojeńskiego Episkopatu.

skiego — trzymał się ściśle zasad marksizmu”.

Zacytowałem powyżej całą wypowiedź ks. redaktora Piowarczyka, choć ostatnie jej zdanie podlega dla mnie dyskusji. A to w tym celu, by uzasadniając używanie przez katolików nazwy socjalizm dla określenia swej ideologii, podkreślić z całym naciskiem, że nawet tak jeszcze różniący się od nas poglądami społecznymi ideolog katolicki, jakim jest ks. redaktor, rozumie możliwość określenia przez katolików swej koncepcji społeczno-gospodarczej tą nazwą, nie widzi w tym nic sprzecznego z logiką i zdrożnego.

I jest to przecież zupełnie zrozumiałe. Socjalizm to pojęcie o przepięknej tradycji, pojęcie otoczone dużym rozumieniem i entuzjazmem. Socjalizm to pojęcie, które od kilku dziesiątków lat mobilizowało na świecie wszystko, co postępowe i bezinteresowne. Jeśli patrzyliśmy dziś na marksistów, których uważamy za swych przeciwników światopoglądowych i podziwiamy ich dynamizm zespołowy, to musimy zdać sobie sprawę, że czerpią oni swą siłę właśnie z przebogatej tradycji socjalizmu, kiedy był on jeszcze zwalczanym systemem, kiedy to wyznawanie go było równoznaczne z heroizmem samozaparcia i wyrzeczenia, kiedy wreszcie każdą zdobycz społeczną w walce z kapitalizmem opłacano krwawym nieraz trudem.

Niestety, zbyt niedostateczna jest u nas stale znajomość historii socjalizmu. A jest ona niezwykle pouczająca. Socjalizm nie zaczął się od materializmu marksistowskiego, choć marksizm jest niewątpliwie dotychczas głównym nurtem jego teorii i praktyki społecznej. Św. To masz Moore, Saint Simon, Sismondi, Fourier, Luis Blanc, Proudhon, Rodbertus, by wymienić przykładowo nazwiska twórców tzw. socjalizmu utopijnego przed marksistowskiego, a wszyscy teoretycy socjalizmu rewizjonistycznego, oto nazwiska i prądy społeczne socjalistyczne, które tu przypominamy, by wskazać, że socjalizm nie zaczął się od marksizmu.

I nam katolikom nie wolno pozbawiać naszej ideologii społecznej tych dobrych, twórczych i dynamicznych sił, jakie socjalizm z sobą przyniósł i w sobie urobił. Przeciwnie, my katolicy musimy określać się mianem socjalistów, musimy czerpać z dobrych tradycji socjalizmu, rozwijać tę ideologię w teorii i praktyce społecznej w myśl naszych zasad moralnych, jeśli nie chcemy pozostać poza nawiasem ciągle postępujących procesów społecznych.

A, że w socjalizmie są nurty myśli, przede wszystkim myśli filozoficznej sprzeczne z naszym spirytualistycznym poglądem na świat, to wcale nie powinno zniechęcać nas do tej ideologii, a jedynie narzuca nam obowiązek precyzyjnego określenia, co socjalizm w naszym rozumieniu oznacza. I tuszę sobie, że na tych łamach uczyniono to już możliwie dokładnie w czterech punktach sformułowanych także na początku tego artykułu. Powtórzmy je jeszcze raz:

- 1) uspołecznienie środków produkcji,
- 2) planowy charakter gospodarki,

3) dążenie do społeczeństwa bezklasowego,

4) internacjonalizm.

Oto konkretny program socjalizmu, który nie koliduje z wyznawanym przez nas światopoglądem, który w każdym punkcie musimy rozwijać i doskonalić w myśl założeń katolickiego personalizmu.

I nonsensem byłoby tworzenie dla naszej koncepcji społecznej odrębnej od socjalizmu nazwy. A to z dwu powodów:

1) odcinałoby to nasz ruch i ideę społeczną od dobrej tradycji światowego socjalizmu i tworzyłoby szereg powikłań myślowych, wreszcie mogłoby w dzisiejszym politycznym konflikcie socjalizmu z kapitalizmem sugerować jakieś trzecie stanowisko, którego politycznie dziś nie ma, bo po prostu realne siły są tylko dwie. I absurdem byłoby mniemać, że naturalne wewnętrzne różnice ideowe w łonie obu tych obozów mogą wytworzyć siłę trzecią. Oba obozy są na to zbyt czujne, wzajemna walka toczona o imponderabilia zbyt bezwzględna, by mogły do tego dopuścić. Przed rozstrzygnięciem toczącego się dziś konfliktu nie widzę praktycznie większego oddziaływania tych różnic, choć filozoficznie są one diameralne, a skutki społeczne także będą mieć w dziedzinie kultury i wychowania.

2) Drugim powodem nonsensowności tworzenia nowej nazwy jest przekonanie, że choć taki nawet dla ucha przyjemny nowotwór językowy ukuć jest nie trudno, to jednak trzeba by niezwykłe sprzyjających okoliczności, by przyjął się on i u-

trwali w przekonaniach najszerszych mas społecznych. Tymczasem nazwa socjalizm ma już swoje tradycje, a co najważniejsze, ta nazwa właśnie jest i będzie podawana szeregowi młodych pokoleń w dużej części świata jako symbol postępu i walki o nowy sprawiedliwy świat. A tych ludzi przecież mamy my dla naszych chrześcijańskich treści ideowych w socjalizmie przekonywać. Mówić więc chcemy ich językiem, językiem, który wkrótce będzie już może powszechnym.

IDEOLOGIA SOCJALISTYCZNA I RZECZYWISTOŚĆ SOCJALISTYCZNA

Głoszenie przez katolików ideologii socjalizmu poczytywane jest w pewnych kołach za branie całkowitej odpowiedzialności za rzeczywistość socjalistyczną i formy rewolucyjnej walki obozu socjalistycznego z kapitalizmem światowym, nawet wówczas, jeżeli formy te nie byłyby zgodne z chrześcijańską moralnością życia publicznego.

Stanowisko takie jest błędne. Przyjmując ideologię socjalizmu — a probujemy niewątpliwie to wszystkie naturalne procesy społeczne, które do ustroju socjalistycznego prowadzą, a probujemy dalej włączenie się aktywne i twórcze do konkretnej rzeczywistości socjalistycznej, w której żyjemy, ale której bezpośrednio nie tworzymy.

Tworzy ją bowiem obóz marksistowski, kierujący dziś rewolucją na całym świecie. Dlatego

też nie uznawać rzeczywistości, która jest faktem, nie możemy, ale uznawanie jej zobowiązuje nas tylko w tych granicach, w jakich wypowiedzieliśmy się ideologicznie. A co a probujemy jako ideologię socjalizmu, precyzowałem już dwa razy w tym artykule enumeratywnie. Jest rzeczą najzupełniej pewną, że odpowiedzialność ponosi się jedynie za to, co konkretnie się przyjęło. Na rzeczywistość społeczną składa się cały przebiegający zespół czynników ustrojowo-gospodarczych i ustrojowo-politycznych, wychowawczych i kulturalnych, prawnych i tyjących się praktyki społecznej, co do których w ogóle jeszcze nie mogliśmy się wypowiedzieć. Pominawszy bowiem inne momenty, znajdujemy się przeciw bowiem dopiero w stadium pracy nowatorskiej, pracy przede wszystkim teoretycznej, polegającej na kojarzeniu podstawowych zasad socjalizmu, będącego dla nas nieuchronną koniecznością historyczną, z wiecznym i jedynie prawdziwym duchem społecznej miłości chrześcijańskiej. I odpowiedzialność bierzemy za te teoretyczne treści ideowe, które formułujemy, oraz za konkretnie i wyraźnie a probowane przejawy rzeczywistości. Poza tym za nic więcej.

Jeśli zaś chodzi o możliwe najściślejsze sprecyzowanie swego stosunku do rzeczywistości, to aczkolwiek cytowanie swoich artykułów jest zenujące i ponoć niezupełnie przyzwoite, odsyłam do artykułu „Wolność i Rewolucja” — „Dziś i Jutro” nr 7 (169), gdzie m. in. piszę jasno:

„Opowiedzenie się za nowym porządkiem jest jedynie słuszne. Ale tu obowiązuje katolika po zaaprobowaniu rewolucji:

a) bezwzględne odcinanie się od stosowania jakichkolwiek metod niezgodnych z postulatami etycznymi Kościoła, ze stanowiska Kościoła niemoralnych,

b) kierowanie całego wysiłku w kierunku łagodzenia wszelkich konfliktów wynikłych z konieczności usuwania form starego porządku społecznego,

c) wpajanie w ludzi i instytucje, rewolucji ducha miłości chrześcijańskiej”.

SŁUSZNA NAZWA SOCJALIZM

Z powyższych wywodów wynika niezbicie, że:

1) używanie nazwy socjalizm na określenie wyznawanej ideologii nie determinuje opowiadania się za światopoglądem materializmu filozoficznego,

2) nie jest ono bałamutne, bo pociąga odpowiedzialność tylko za precyzyjnie sformułowane rozumienie ustroju socjalistycznego,

3) wobec powyższego, a przy właściwości tej nazwy wskutek pięknej tradycji, powszechnej zrozumiałości i dynamizmu uznajemy socjalizm za jedynie słuszne określenie wyznawanej przez nas ideologii.

I dlatego chcemy i musimy w obozie katolickim zmienić stosunek do pojęcia socjalizmu i wywołać rozumienie i entuzjazm dla miana, którym, jak powiedzieliśmy, historia ochrzci zapewne całą wielką epokę.

Andrzej Micewski

Walenty Majdański

NA MARGINESIE WYSTAWY AKCJI „W”

Od czego zaczęto „akcję W”? Zbadano w roku 1947 zagadnienie chorób wenerycznych w Polsce. Powołano do życia „Wydział Zwalczenia Chorób Wenerycznych” przy Ministerstwie Zdrowia opracował plan działania. Stwierdzono najpierw brak personelu odpowiednio przygotowanego do leczenia, brak nowoczesnych środków leczniczych i ignorancję społeczeństwa. Przeszkolono 350 lekarzy, 550 pielęgniarek, uruchomiono 14 wojewódzkich kolumn sanitarnych, zakupiono 180 miliardów IOX penicyliny, 3 miliony porcji środków arsenowych i 4.500.000 porcji bizmutu, przeznaczono miliard złotych na leczenie, no i ruszono w teren do ataku.

Zaraz w pierwszym roku walki, 1948, zbadano 1.200.000 osób, wykryto kilę z badań u 12.000 osób, dowiedziano się o kile u 14.000 osób, leczono z chorób wenerycznych 86.000 osób, z czego 55.000 kilowych, 30.000 rzeżączkowych; zgłosiło się do leczenia 60.000 osób; wykryto kilę wrodzoną u 2.400 dzieci i wyleczono te dzieci; leczono z kily 7.000 matek ciężarnych, a tym samym uratowano od śmierci i zarażenia 7.000 dzieci nie-narodzonych, które zdrowo przyszły na świat; wydano 1.400.000 ulotek, 250.000 afiszów i plakatów, wygłoszono 2.900 odczytów przy 200.000 słuchaczach; wysłano w teren 560.300 ampułek penicyliny, 3 miliony dawek arsenu i 4,5 miliona bizmutu, 180 mikroskopów i 4.200 strzykawek.

Cała ta akcja to wiele. Ale zarazem to mało. Dlaczego. Bo właśnie akcja badawcza chyba musi objąć

dalsze miliony, a w szczególności akcja wychowawcza — uświadamiająca. Szerokim rzeszom ludowym jest konieczne, nie bójmy się tego powiedzenia, przeszkolenie wenerologiczne, zwłaszcza w zakresie znajomości kily, lekceważonej przez lud jako choroba... lekka, ponieważ przechodzi ona nieraz nawet w ciągu całych lat nieomal bez żadnych objawów zewnętrznych. Sądźmy zresztą, że „akcja W” będzie nie tylko dalej działała z nieślabnącą siłą, ale i rozbudowywała swoje metody.

Podobną działalność w zakresie „akcji W” przewiduje się podczas dalszych kilku lat — w granicach planu sześcioletniego. Wskazują na to slogany czytane na wystawie. Na przykład: „Za dwa lata nie będzie w Polsce społecznego niebezpieczeństwa kily wrodzonej”. Albo: „Choroby weneryczne za parę lat przestaną grozić społeczeństwu”. Plan sześcioletni preliminarzuje na „akcję W” dwa miliardy złotych.

AKCJA „W” + AKCJA „O”

Jedna z plansz tłumaczy, jak bardzo się opłaca te dwa miliardy złotych, wyznaczone na „akcję W”. Oto zaoszczędzą one 680 miliardów złotych, bo tyle akurat wynosiłaby — z jednej strony — wartość roboczo-dniówek, które opuściliby robotnicy i pracownicy gdyby chorowali wenerycznie; a z drugiej strony — składałyby się na tę sumę wydatki: na leczenie tychże pracowników, na przedwczesne dla nich emerytury itp.

Plansza przekonuje „z ołówkiem w rękę”, że za te zaoszczędzone 680 miliardów można by wybudować 225.000 domków czteroizbowych jednorodzinnych. Oto, ile zaoszczędzi nasz naród, jeżeli będą się leczyli wszyscy zarażeni i jeżeli każdy będzie się leczył zaraz skoro spostrzeże u siebie chorobę. Oczywiście, o ileż więcej zaoszczędza naród nie zarażający się w ogóle. Szczęśliwy naród wstrzemięzliwy.

NASZE WNIOSKI

Na uwagach dotychczasowych można by skończyć. Ale dla nas katolików, są one tylko wstępem do odkrycia dalszych możliwości w walce o zdrowie narodu i o oszczędności dla państwa. Zdajemy sobie bowiem sprawę, a słyszymy to samo od wszystkich wielkich dermatologów, że metody leczenia chorób wenerycznych ciągle rosną i jednocześnie rośnie liczba chorych. Co prawda, od czasów odkrycia penicyliny wzrosła ogromnie wiara, że choroby te da się wykorzystać, jednak historycy tychże chorób widząc ten dzisiejszy optymizm, utrzymują, że obserwowano to samo po odkryciu salwarsanu przez Ehrlicha i Hatę. Toteż należy przyjąć, że głównym środkiem zabezpieczającym przed chorobami wenerycznymi będą zawsze zdrowe obyczaje. Dlatego walnym pomocnikiem — i to decydującym — w „akcji W” byłaby jednocześnie „akcja M”, walka o wysoką moralność; walka o zdrowe obyczaje wśród młodzieży i małżeństw a wraz z tym — wychowywanie narodu do kultury panowania nad so-

bą i do zdrowej rozrywki. Do zdrowej moralnie kultury używania życia. Nie tyle bowiem „uregulowane życie płciowe” chroni od chorób wenerycznych — jak to głosi wystawa — ale panowanie nad sobą, ale zdrowe obyczaje, ale trzeźwość, ale wstrzemięzliwość w kulturze używania życia, ograniczona przede wszystkim przez dwa Przykazania Boże: Piąte, zabraniające szkodzić sobie i bliżnim na duszy i ciele, oraz Szóste Przykazanie. Jednym zaś z warunków zdrowych obyczajów wśród młodzieży, bo jak powiedzieliśmy wystawa stwierdza że „młodzież jest głównie narażona na choroby weneryczne”, jest usunięcie z życia społecznego tych wszystkich zjawisk, które niepotrzebnie drażnią seksualnie lub przedwcześnie i nadmernie zainteresują dzieci i młodzież życiem płciowym.

Słyszymy ciągle, a radziłyśmy usłyszeć potwierdzenie tegoż z autorytatywnej strony, że w ZSRR, gdzie tylko jest to osiągalne, usuwa się ze szkolnicwa koedukację. Jeden z synów niżej podpisanego, podczas siedmioletniego pobytu w ZSRR, uczył się w szkołach sowieckich niekoedukacyjnych i spotkał się dopiero po powrocie do Polski z koedukacją.

NASZE ZADANIA

Drugi aspekt zagadnienia kultury panowania nad sobą, to konieczność ustawowej walki z dzikimi małżeństwami. Wiadomo, że uzyskać rozwód cywilny nie jest zbyt łatwo. I znów

Juliusz Nowak-Dłużewski

SYNTEZA WIEDZY O „PANU TADEUSZU”

Część druga tomu drugiego monografii Juliusza Kleinera o Mickiewiczu (Towarzystwo Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, t. 41, Lublin 1948) poświęcona jest analizie „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego”, publicystyce Mickiewicza z lat 1832 — 1834 i przekładowi „Giaura” Byrona. Główną jednak treścią tego tomu jest analiza „Pana Tadeusza”, która zajmuje przeszło dwie trzecie objętości całego pięciotomowego tomu. Całość opracowana jest, jak i tomy poprzednie tej monografii, sposobem historyczno-literackim, wydobywającym z twórczości poety jej wartości ideologiczne i artystyczne, z tym samym nakładem imponującej erudycji, uwzględniającej wszelkie dotychczasowe opracowania „Pana Tadeusza”, czy innych z tej epoki utworów mickiewiczowskich.

Czytelnika „jubileuszowego roku Mickiewicza” interesować będzie głównie „Pan Tadeusz”. Nie wynika z tego, aby publicystyka Mickiewicza nie była dzisiaj dla nas bez wartości.

Kiedy się czyta w memoriale Mickiewicza do narodu rosyjskiego, że „ciąga wojna była zawsze konieczną dla despotów dla utrzymania ich władzy”, że „narody nie mają żadnego interesu gubić się nawzajem”, że „dzień upadku despotów będzie pierwszym dniem zgody i pokoju narodów”, brzmi to wszystko dla ludzi dzisiejszych, jak jakieś wyznaczenie wiary politycznej ludzi „pokój milujących”. Godzi się z wnikliwym sądem Mickiewicza, zawartym w tymże memoriale, o narodzie rosyjskim, który nie jest wrogiem narodu polskiego. Jego wrogiem jest car i otoczenie tronu rosyjskiego. „Niemiec albo Kirgiz, albo Tatar czyli zna co innego oprócz woli cara, który go wzbogaca i wynosi?”

Warto na tym miejscu przypomnieć z rzeczy publicystycznych Mickiewicza pisanych w epoce 1832 — 1834, odczyt,

wygodzony na posiedzeniu Towarzystwa Litewskiego i Ziemi Ruskich p. t. „O duchu narodowym”. A warto dlatego, że odczyt ten jest miarodajny dla ewolucji ideologicznej Mickiewicza i dla jego twórczości.

Mowa w tym odczycie o przyszłości narodu polskiego, o jego przyszłym uorganizowaniu się w ciało polityczne. Zastanawia w nim postawa poety, przedstawiająca się abstrakcyjnym intelektualizmem w XVIII, którą według oderwanych, z czystego rozumu wysnutych formuł próbował określać przyszły był polityczny społeczeństw europejskich. Należy formy rzędu i prawa — twierdzi Mickiewicz — stosować do potrzeb i woli mas, bo te potrzeby i ta wola nie w jednej głowie, nie w jednym wyjęty się sercu, ale są wypadkiem pracy i życia wieków i pokoleń”. A więc organiczny wywód przyszłości ustrojowej Polski z „umianami i uczniami dawnej Polski”. Brzmi to prawie jak zapowiedź „Pana Tadeusza”. Tradycjonalistyczna postawa Mickiewicza w tym ważnym jego dziele politycznym nie kłóci się z postawą rewolucyjną, rewizjonistyczną w stosunku do tego, co obserwował w życiu społeczeństw europejskich. Wie on, że dawne formy życia Europy skazane są na zagładę. Mówi przeciw wyraźnie, że „całe towaństwo (t. j. społeczeństwo europejskie) jest w bezładzie... niechybny jest jego upadek, upadek może jeszcze całkowitszy, niż ruina państwa rzymskiego”. Proroczy katastrofizm Mickiewicza ma wiele wspólnego, jak stwierdza Jul. Kleiner, z Ballanche'em i Michelem. Ma on zresztą dość długie w Europie tradycje, skoro sobie przypomnimy niedawne przeciw tezy niemieckiego socjologa Spenglera. Ani Michelet, ani Ballanche z Mickiewiczem nie przypuszczali, że kryzys europejski będzie tak długotrwały.

Należy się wdzięczność prof. Juliuszowi Kleinerowi za rehabilitację „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa”. Tworzy wyjątkowo już przecie z literatury pięknej, wliczając je między publicystykę Mickiewicza. Czytaliśmy przecie przed wojną autorytatywne pod tym względem enuncjacje historyków literatury. Nie jest tak źle. Z długich a rzeczowych i wnikliwych analiz J. Kleinera (w oparciu o wyniki badań uczonych zagranicznych) wynika jasno, że „Księgi” są jednak utworem literatury pięknej w bardzo kunstownej budowie swoich wersetów. Tak jest mimo tego, że są przedłożone materiałem publicystycznym. Autor stwierdza, że praca nad ostatecznym ustaleniem wartości stylowej „Ksiąg” nie jest zakończona i zapowiada w tym kierunku własne specjalne studium.

Specjalnie pieczołowicie, jak napisał, omówiono „Pana Tadeusza”. Zgodnie z rzeczywistością literacką poematu na plan pierwszy wysunęto kwestię jego kształtowania, do której się zachowało szczęśliwie wiele materiału informacyjnego (spożytkowanego w specjalnie o genezie poematu napisanej książce St. Pigonia). J. Kleiner obok też w tej sprawie Pilata i Pigonia ustala własne, unaocznione na specjalnej tabeli. Sprawa genezy poematu zajmuje sporo miejsca w rozważaniach J. Kleinera. Ustalenie filiacji, przeprowadzone skrupulatnie i szczegółowo, może denerwować pewnych przedstawicieli i adeptów badań literackich, ale wszyscy — formalisci i nieformalisci — muszą się zgodzić z ich celowością i koniecznością w dziele, traktującym o „Panu Tadeuszu”, skoro przeczytają wnioski ostateczne, jakie Kleiner wywodzi z ropatrzenia genezy poematu. „Zharmonizował (Mickiewicz) sprzeczne postawy duchowe, w jedność przepił elementy całej niemal różnorodnej tradycji literackiej i z tego zespołu stworzył dzieło jedne, nie mieszczące się w ramach żadnego znanego rodzaju literackiego”. Taki jest ostateczny wynik badań genetyka nad dziełem klasy wysokiej, które musi mieć w sobie różnorodne wpływy, bo to wynika z konieczności historycznej każdego utworu literackiego, ale które musi zachować swoją autonomię literacką, jedność i niepowtarzalność, to co nazywamy oryginalnością, bo to wynika z konieczności talentu prawdziwie twórczego. Aby to stwierdzić należy się — zabawić we „wpływologię”.

Wpływ największy na kształtowanie „Pana Tadeusza” wywarł zresztą nie Walter Scott ani starożytność klasyczna, ale sam Mickiewicz jako określona osobowość ludzka i jako określonej wagi indywidualność twórcza. Utwór powstał z rzeczywistości, którą się nazywa osobowością twórczą poety. Powstał nie z literatury, nie z książek, ale z życia. Jak każdy utwór Mickiewicza. Na to nie pomogą żadne trony i jeremiady przeciwników „psychofizmu” w badaniach literackich.

Pod przemożnym dyktandem nstałgi, która opanowała poetę i rzuciła nim na emigracji, a z materiału wspomnień „kraju lat dziecinnych” powstało tradycjonalistyczne „unieśmiertelnienie polskości”, poemat, osadzony na konkretnym krajobrazie, konkretnej atmosferze czasu i ludziach. Prawie w ten sposób, jak sobie wyobrażał w tym wypadku powstawanie utworu literackiego Hipolit Taine. Toć przecie w naczelnych nawet postaciach utworu, za jakie Kleiner uważa Zosię („cud piękna”) i ks. Robaka, widać rzęski wiew rzeczywistości realnej, podniesionej w poemacie — zarówno w krajobrazie, jak i w ludziach — do rangi prawdziwej poezji. Przeżycie literackie rządzi mechaniką powstawania utworu, przeżycie konkretów. Poemat przeto nie wisi w powietrzu, ale tkwi korzeniami w rzeczywistości, którą można nazwać z całą słusnością regionalną. Głębokiego przeświadczenia o regionalizmie „Pana Tadeusza” nabyla się właśnie po lekturze gruntownych i szczegółowych wywodów Kleinera, które wiążą tysiącem dostrzegalnych dla badacza nici rzeczywistości poetycką z rzeczywistością realną. Brak tu miejsca na uzasadnienia szersze. Zacytujmy jeden z bardzo licznych momentów, znajdujących się w monografii Kleinera, która świadczy o roli przeżywania przez poetę realiów w kształtowaniu poematu jako dzieła sztuki. Suabalterm Kniaziewicz góruje jako postać artystyczna nad szefem Dąbrowskim. Plastyka postaci Kniaziewicza tłumaczy się po prostu tym, że znał go poeta dobrze z życia, z osobistych kontaktów, podczas gdy Dą-

browski był dla niego tylko pięknym symbolem. Słusznie przeto konkluduje Kleiner, że „Mickiewiczowi dla plastyki przedstawienia potrzebny był kontakt z tym, co przenośli w świat poezji”. Cały poemat świadczy o „precyzji obserwacji, fenomenalnej pamięci rzeczy spostrzeganych i przywiązaniu wyobraźni do elementów konkretnych”. Nie należy zapominać, że epopea nie jest naturalistyczną fotografią osób, zdarzeń i ziemi. „Obok dążności do ogarnięcia, zsyntetyzowania wszystkiego, co się składało na obfitość i różnorodność danych konkretnych przeżyć, obserwacji, rzeczy widzianych i słyszanych i przekazywanych ustami świadków i narratorów szlacheckich — rozumie J. Kleiner — działała tu świadomość dwukrotnego przekształcania rzeczywistości obiektywnej: najpierw przez dynamikę uczuciową wspomnienia, potem przez poezję. Fikcyjnością przeważną nazwisk lub ich brakiem na pierwszym planie, autentycznością na planie dalszym zaznaczał Mickiewicz to samo, co nawet w autobiografii własnej odczuwał i uświadamiał sobie Goethe, gdy dał jej tytuł „Dichtung und Wahrheit”.

Próżno tedy szukać w poemacie „autentycznych” osób „autentycznych” nazwisk i miejscowości. Słusznie się poeta skarżył na ludzi, którzy próbowali utożsamiać Telimę z Konstancją Lubieńską, która napastowała Mickiewicza swoją miłością podobnie jak Telimena Tadeusza.

Poeta dowolnie kształtuje rzeczywistość, przenosi w ramach prawdopodobieństwa fakty i zdarzenia w inny chronologicznie czas i miejsce. Dwa przykłady, zecerpięte z bogactwa faktów literackich tej monografii. Kometa z „Pana Tadeusza” zjawiała się we wrześniu 1811 r. Atmosfera polityczna Litwy r. 1812 wcale nie była filonapoleońska, jaką ją przedstawił Mickiewicz. Tych nieprawomyślności, kłócących się z autentycznością pamiętnikarskim, jest w poemacie tyle, ile ich było potrzeba dla celów kształtowania twórczego literackiego dla celów artystycznych poety, dla stworzenia utworu „prawdziwego”, ale jednak poetyckiego. Sporo miejsca w monografii zajmuje analiza tzw. treści „Pana Tadeusza”. Tego rodzaju taktyka pozwala uczonemu — drogą analizy najdrobniejszych szczegółów treściowych — na wykazanie logiki kompozycji utworu, w którym nic nie jest zbędne, w którym niczego nie brak. W związku z tym zestawienie ostatnich redakcji poematu z ich redakcjami pierwotnymi pozwala badaczowi na stwierdzenie, jak celowa z punktu widzenia sztuki literackiego była cała żmudna dosyć praca Mickiewicza nad tym poematem, prowadząca go do jedynie celnych ostatecznych sformułowań. Czytając te wywody Kleinera, dochodzi się raz jeszcze do przekonania, że jednak zasada horacjańska jest słuszną i że utwór literacki, choćby nawet autora genialnego, nie jest wynikiem „jednorazowego natchnienia”.

W wyniku wywodów uczonego okazuje się, że Mickiewicz, jak tego chciał już dawno Stanisław Witkiewicz, najmocniejszy jest w widzeniu rzeczywistości barw (prekursor impresjonizmu) a w obrazowaniu światła wykazuje istic „zdmuwające wirtuozostwo”. Kleiner nie waha się z tego tytułu nazwać „Pana Tadeusza” „poematem słonecznym”. Nie mniejszym chyba mistrzem jest w

obrazowaniu ruchu i we wrażliwości na akustyczne momenty rzeczywistości (trzy koncerty: Wojskiego, Jankiela i muzyki wieczornej przyrody).

Monografia Juliusza Kleinera przekonywa ogromem erudycji (choćby w drobnej sprawie strzelby-sagalasówki Rejenta) i wrażliwością krytyka na walory literackie tekstu analizowanego poematu: dość tu zacytować celne spostrzeżenia, uchylające się powszechnej uwadze, na temat pokrewieństw stylowych w obrazach grzybów i drzew litewskich. Właśnie sprawy drobne decydują w analizie literackiej o jej wartości ostatecznej.

Z monografii Kleinera dowiadujemy się o wielu rzeczach nowych, w wielu sprawach i poglądach utwierdzamy własne stanowisko. W niewielu tylko możemy sobie pozwolić na uzupełnienie stanowiska uczonego.

Z uzupełnień tych jedno dotyczyłoby sprawy tzw. systemu przemilczeń, które odgrywają dość znaczną rolę w utworach literackich w ogóle, a w „Panu Tadeuszu” w szczególności, jak to widzieć z rozprawy Stefani Skwarczyńskiej, poświęconej tej kwestii.

Drugie uzupełnienie dotyczy genezy poematu mickiewiczowskiego, który miał, jak wiadomo, ratować od zagłady ginącą już dawną tradycję polską drogą przekazania jej pamięci potomnych na kartach poematu.

Juliusz Kleiner słusznie stwierdza pokrewieństwo intencji Mickiewicza z zamiarami warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Ale wiadomo, że głównym propagatorem w T. P. N. tendencji ratowania od niepamięci dawnego polskiego obyczaju i kultury był Niemcewicz: wyniósł on to przekonanie z puławskiego domu Czartoryskich, który jeszcze przed T. P. N. grał rolę „konservatora” polskości. Mowa w pracy Kleinera o licznych kontaktach Mickiewicza z Niemcewiczem, który w czasie pisania „Pana Tadeusza” przebywał w Londynie na stanowisku delegata Rządu Narodowego. Mowa również o ewentualnym wpływie „Listów Litewskich” Niemcewicza na filonapoleońską atmosferę „Pana Tadeusza”. Mowa również o wpływie „Panny Guzdalskiej” Niemcewicza na kreację Telimę (spostrzeżenia St. Pigonia).

Nasuwa się naturalne przypuszczenie, że Niemcewicz mógł — poza innymi czynnikami — wywrzeć swój wpływ na Mickiewicza. Tym bardziej, że Mickiewicz bardzo sobie cenil osobę i twórczość Niemcewicza. W liście z Moskwy pisze z „szacunkiem i podziwieniem” o Niemcewiczu. Znamy niemal entuzjastyczny sąd Mickiewicza o „Śpiewach historycznych” Niemcewicza. A przecie „Śpiewy”, jak i późniejszy „Jan z Teczyną” powstały z tego samego impulsu twórczego, co i „Pan Tadeusz” — i one były również „unieśmiertelnieniem polskości” — oczywiście na miarę sił i zdolności Niemcewicza.

Wśród szeregu inspiratorów „Pana Tadeusza” należy się jakieś miejsce również i Niemcewiczu. Rewindykuję się niniejszym dla niego do prawo.

Juliusz Nowak-Dłużewski

nie jest tajemnicą, że rozwody istnieją w ZSRR raczej w teorii. Ale jest pewna plaga w Polsce, może gorsza od rozwodów, mianowicie „życie na wiare”, jakże przy tym często — z cudzym mężem, cudzą żoną. Plaga ta bezsprzecznie wpływa na powiększenie się trzech zjawisk: zabijania dzieci nienarodzonych, powiększania liczby dzieci źle wychowanych i wzrostu chorób wenerycznych. Potwierdzają to statystyki skutków tychże zjawisk w innych krajach.

Dr J. Jakóbkiewicz w pracy w roku 1947 „Walka z groźnym wyludnieniem w Europie” przytacza rezultaty badań francuskich, z których wynika, że śmiertelność wśród dzieci jest kilkanaście razy większa wśród małżeństw dzikich, jest mniejsza niż wśród małżeństw normalnych. A znów według danych jednego z pism francuskich z dnia 30.3 1949 roku „wśród 300.000 tamtejszych dzieci-przestępców około dwie trzecie pochodzą z małżeństw rozwiedzionych. Czyż także źle wychowane dziecko nie szczyt później chorób wenerycznych i jako niemoralne i jako społeczne. Ciekawe, że wszystkie te niebezpieczeństwa, groźne dla populacji i losu dziecka, rozumie powojenne ustawodawstwo sowieckie, toteż „żąda ono, by prawa dla rodziców ustanawiano w sposób zgodny z potrzebami dzieci”. („Osnovy sowietskogo gosudarstwa i prawa”, podręcznik dla wyższych szkół prawniczych. Moskwa 1947, strona 363).

Trzecia sprawa to konieczność wydania dekretu przeciw przerywaniu ciąży, bo jest ono między innymi przyczyną chorób wenerycznych. Profesor doktor Pryzewi, dyrektor Uniw. Kliniki Położniczej w Warszawie, powiada w swej pracy: „Następstwa i skutki poronień”, co następuje: „Nie mało jest przypadków, w których żadnego błędu w technice przerywania ciąży nie popełniono, a mimo to bezpośrednim następstwem poronienia było zakażenie płożowe ogólne lub miejscowe. Tu w przeważnej liczbie przypadków należy szukać przyczyny w fakcie wprowadzenia materiału zakaźnego, istniejącego w dolnych odcinkach dróg rodnych, do odcinków górnych za pomocą narzędzi” itd. „Gropkowce ropne — powiada dalej tenże uczone — odgrywają w tych razach poważną rolę, może jeszcze poważniejszą dwoinki rzeżączki, powodujące szerzenie się wiewióra w wyższych odcinkach narządu rodnego”.

Czwarty warunek, to pełne urealnienie wydanego już dekretu o przymusie leczenia i przymusie zawiadamiania władz sanitarnych o roznościach chorób wenerycznych. Czytaliśmy wycinki tego arcyważnego dekretu na jednej z plansz wystawy. Jednak żadne kary tu nie pomogą, jeśli nie pobudzi się sumień obywateli do tego obowiązku. A któż ma władzę głębszego uwrażliwienia sumień niż Kościół?

Czytajcie

„Słowo Powszechne”!

Polecam Nowości

Jan Dobraczyński	
Święty Miecz	cena zł 1.200,—
St. Czernik	
Smolarnia nad Bobrową Wodą	cena zł 480,—
Elin - Pelin	
Gerakowie - Ziemia	cena zł 400,—
Prof. A. Peretiatkiewicz	
Jan Jakub Rousseau — „Filozof demokracji społecznej”	cena zł 960,—

KSIĘGARNIA

Zdzisław Gustowski

POZNAŃ, Św. Marcin 34 — Wielka 10

...jednocześnie czołówki pancerne ósmej armii amerykańskiej dotarły...”. Ks. Godinot podniósł raptownie głowę. Nie trudno było odkryć powód nagle wybuchłej wrzawy. Piłka opadała właśnie, wirując o dobrych kilka metrów nad wierzchołkiem najwyższego kasztanu. „Znowu Jean Pierre” — pomyślał z niechęcią ks. Godinot — „znowu będzie awantura z rzeźnikiem zza muru”. Miał już stanowczo dość tych codziennych tyrad o zakłócaniu dobrze zapracowanego spokoju, aktów zemsty wyrażających się rekwizycją piłki, wysyłania delegacji z przeprosinami i osobistych interwencji. Z żalem spojrzął na bibulastą kartkę biuletynu: dotarły... dotarły... gdzież to się podziało?... Zgiełk uciszał się powoli. „Pewno upadła z tej strony” — skonstatował z ulgą. Wciąż jednak nie mógł się zdecydować, co w danej chwili jest ważniejsze: teren operacji amerykańskich czołówek, czy niesforny Jean Pierre. Od strony kościoła dobiegł go brzęk kluczy. Odwrócił się: przygarbiona sylwetka starego Claude wtapiała się w mroczne wejście na wieżę. To przesądziło sprawę. Złożył starannie kartkę i wetknął do kieszeni sutanny. Gwizdka nie trzeba było szukać, tkwił cały czas w ustach. Gwizdnął raz, drugi, trzeci... Dalej odbywało się wszystko według codziennego programu: wzmoczone krzyki, nawoływania, tupot kilkudziesięciu nóg nabierających głuche go odgłosu na kamiennym chodniku prowadzącym do kościoła. Jednocześnie spoza drzew wyłoniła się roześmiana twarz Jean Pierre'a.

— Proszę księdza, odnoszę piłkę.
— Połóż na ziemi — zakomenderował ksiądz. — Nie tu... koło ławki... No... na co jeszcze czekasz?

Malec wpatrywał się w księdza z wszelkimi oznakami przerażenia: tylko w oczach migotał jeszcze uśmiech. Ks. Godinot wiedział dobrze, że w tej chwili od niego tylko zależy podtrzymanie tego uśmiechu — lada sekunda mogą się zjawić łzy. Wiedzia! też dlaczego piłkę odnosi właśnie Jean Pierre, a nie żaden inny z chłopców. Toteż chcąc skrócić przykry moment napięcia, przystąpił od razu do rzeczy:

— Nieprzyjemnie ci, co? Ale już więcej nie będziesz? No! — zniecierpliwiał się — odpowiadaj!

Ogarnęło go zakłopotanie — wyczuwał, że zacisnięte wargi chłopca tak jak przed momentem tamowały złocho, teraz tamują falę śmiechu. A to bynajmniej nie było po myśli ks. Godinot, Jean Pierre opanował się jednak.

— Bo proszę księdza proboszcza — parsknął nagle. Fala śmiechu wracała jednak ku rozpacz księdza.

— Więc o co ci chodzi? — zapytał marszcząc brwi, a jednocześnie gdzieś w głębi serca wysyłał ku chłopcu hipnotyczny nakaz: nie śmieć się draniu, nie śmieć...
— Bo proszę księdza... ja naprawdę niechcąca... tylko, tylko... że zawsze tak mocno podbijam piłkę — wyrzucił z siebie z desperacją i wziął głęboki oddech, co nie uchroniło go przed fałsetowym chichotem. Ksiądz jednak uznał sprawę za zlikwidowaną.

— Zbliź się.
Jean Pierre — ociągając się — zrobił kilka kroków naprzód. Ksiądz dotknął czubkami palców czerni rozwichrzonej czupryny.

— Więc po raz ostatni? Przrzekasz? Patrz prosto w oczy!
Chłopiec poderwał głowę do góry. „Tym razem nie zdzierzy” — pomyślał ksiądz — „roześmieje mi się prosto w twarz”. Więc nie czekając na odpowiedź rzucił komendę:
— Zmykaj!

Jean Pierre wykonał dziwaczny przysiad, mający imitować ukłon, odwrócił się i biegnąc znikł za drzwiami. „Do jutra” — uśmiechnął się z rezygnacją ks. Godinot — „za to przy obiedzie będzie przynajmniej spokój”.

Sięgnął po zegarek. Szósta. Claude od pięciu minut już trzyma sznur od dzwonu. Stary dziwak. Ale zdaje się jeszcze w tym tygodniu będzie mógł zadzwonić. Ks. Godinot znowu przypomniła się przerwana lektura, więc szybszym niż zazwyczaj krokiem skierował się do kościoła.

Odgłos zamykanych drzwi zdusił ostatnie szepty dzieci kłęczących przed wielkim ołtarzem. Ktoś tam jeszcze komuś wymierzył szturchańca, ktoś syknął przez zęby: poczekaj!... Cisz... Ksiądz Godinot słyszy już tylko stukot własnych obcasów. Ukłakł na stopniach ołtarza. Już nie myśli o nieskończonym biuletynie. Nieważne są nazwy przyczółków, numery armii, nazwiska generałów. Z oczu Ukrzyżowanego wyziera straszliwy ból. Ks. Godinot pochyla głowę: wie, że te oczy widzą wszystko, że ogarniają swym miłosierdnym spojrzeniem wszystkie fronty tej wojny, płonące miasta i wsie, oplecione wieńcem kolczastych drutów obozy... Ks. Godinot ma zawsze do siebie samego pretenzję o te nazbyt zalatujące histериą wzruszenia. Jednak i dziś jak codziennie o tej porze czuje dławienie w przełyku, musi się przemóc...

Wreszcie zduszonym głosem zaczyna:

— Anioł Pański zwiastował Panię Marii i...

Nad monotonnym chórem dziecięcych głosów góruje tętnący teraz powagą i namaszczeniem falset Jean Pierre'a:

— Święta Marijo Matko Boża módl się za nami grzesznymi...

Ks. Godinot powoli idzie środkiem głównej nawy. Kościół jest już zupełnie pusty. Dzieci wyszły — on modlił się jeszcze... Jak długo? Chyba długo jednak, bo św. Krzysztof na witrażu przyoblekł się w purpurową szatę słonecznego zachodu, a Claude przy bocznych drzwiach przestępuje z nogi na nogę i nerwowo potrasza pękiem kluczy. Ksiądz naciska klamkę. Mrok kościoła jest już tak gęsty, że łagodne światło zapadającego wieczoru oślepia. Odwraca się zniecierpliwiony. Claude nie ruszył się z miejsca i nadal podzwania kluczami. Ba, zaczął kasłać. Widocznie ktoś jeszcze został w kościele. Ksiądz Godinot rozgląda się po bocznych nawach. Znalazł wreszcie... Mężczyzna właśnie podniósł się z klęczek i kieruje się do wyjścia. Jest już w kruchcie, gdy wdzierająca się przez pochyłone drzwi smuga światła pada mu na twarz. Claude zawstydzonym ruchem chowa klucze za siebie.

— Witam księdza proboszcza...
— Dzień dobry, Claude.

Ks. Godinot za każdym razem, gdy zjawia się przed nim Charles Lelonc, nie może się oprzeć zdziwieniu, jakiego doświadczył za pierwszym ich spotkaniem. Zawsze patrzy na niego jak na obcego człowieka, by po chwili upewnić się, że ten profesjonalnie ubrany młodzieniec o teatralnych, denerwujących ruchach — to właśnie Charles Lelonc, a Charles Lelonc to... I tu księdzu brakuje już właściwego określenia. Bo kim jest naprawdę Charles Lelonc?

Lelonc tymczasem rozgadał się:
— No, nie gniewajcie się, Claude. Wiem, brukiew stygnie, ale... przecież nie samą brukwią człowiek żyje... Ksiądz proboszcz przyświadczy, nieprawdaż?

Ks. Godinot nie lubił żartów tego rodzaju, toteż mruknął coś tylko pod nosem i obracając się plecami do obu mężczyzn, otworzył szeroko drzwi. Wyszli na dziedziniec. Claude pokuszył się ku plebanii.

— Księżę proboszcza — zaczął Lelonc — przepraszam, że zabieram cenny czas, ale jeśli ksiądz łaskawo pozwoliłbym sobie prosić o chwilę rozmowy. Oczywiście podkreślam, jeśli to księdza...

— ...nie będzie zbyt absorbowano — ironicznie dokończył ksiądz.

Jerzy Andrzej Górski

Lelonc ukłonem potwierdził trafność dokończenia. Ksiądz zaś, jak zwykle, nie wiedział, czy tamten kpi z niego, czy rzeczywiście daje dowód swego szacunku.

— Niech pan zaczeka parę minut — powiedział — zaraz wrócę, to pogadamy.

— Wobec tego, księżę proboszcza — pójdz do dzieci.

Dalszy ciąg zdania nie dotarł już do uszu księdza.

Charles Lelonc... Charles Lelonc... Przez najbliższe dziesięć minut problem zawarty w tym pospolitym imieniu i równie pospolitym nazwisku wysunął się na pierwsze miejsce w umyśle proboszcza. Wydawał dyspozyję w kuchni, zrugwał wikarego, który zawieruszył się gdzieś jeszcze przed południem, a wróciwszy dopiero teraz, mętnie tłumaczył o jeździe na przedmieście, skąd podobno słychać działa, deczytał wreszcie do końca biuletyn ale w gruncie rzeczy myślał cały czas o tym samym. Po raz tysięczny i któryś powtarzał w pamięci historię swej znajomości z tym dawnym człowiekiem, którego poznawał na nowo, a właściwie nigdy nie znał. Z nazwiskiem Lelonc'a ks. Godinot zetknął się jeszcze przed wojną, oczywiście, wówczas nie zwracał na nie uwagi, po prostu widywał je stale na afiszach jednego z bulwarowych teatrzyków, koło którego dość często wypadła mu droga. Ponieważ zaś do music-hallów, teatrzyków i w ogóle do teatrów nie uczęszczał, nie znał nazwisk aktorów — uznał więc to jedno zapamiętane za symbol jakiegoś zła, imię rozpustnika czy kokainisty. Toteż nie dziwił się bynajmniej, gdy w pierwszym roku wojny dostrzegł w dzienniku ogłoszenie oznajmiające szerokiej publiczności, że Charles Lelonc śpiewa swe piosenki na scenie jednego z najbardziej znanych teatrów w całej Europie, a zapewne i na całej kuli ziemskiej przybytku podkasanej muzy. Krótko mówiąc: Charles Lelonc robił w szybkim tempie karierę. Później przyszli Niemcy, Charles Lelonc znów znalazł się na bulwarowych scenkach. I oto pewnego dnia jesienią 1940 roku zjawił się u ks. Godinot młody człowiek o bujnych blond włosach, wymazanych do obrzydliwości brylantyną i nonszalantko tocząc młynka parasolem trzymanym w upięścionej dłoni wyjaśnił z patosem godnym starej sali „Odeonu”, że nazywa się Charles Lelonc.

Ks. Godinot, otrzeźwiawszy z zamroczenia, spowodowanego tym niespodziewanym ewenementem, przypuszczał, że zostanie bohaterem jednego z wstrząsających cały świat katolicki nawróceń — dowiedział się po chwili, że najbliższym jego zadaniem będzie otwarcie przytułku dla sierot po poległych. Fundusze miały być dostarczone przez przyjaciół młodego wszetecznika, w ich imieniu od razu wręczył księdzu dość okazałą sumę pieniędzy. Wszelkie wątpliwości zbyt krótko: parafialny „Caritas” otwiera przytułek — tak wygląda strona formalna. O „mamotę” — tak dosłownie zostało to nazwane — niech się „przewielebny ksiądz proboszcz” nie trwoży. Na pożegnanie zaś ksiądz usłyszał tonem brzmiałym wyraźną nutą pogroźki, że „wprawdzie przytułek jest w zasadzie przeznaczony tylko dla sierot po poległych, jednak on, Charles Lelonc, faktu istnienia w parafii głodnych czy bezdomnych dzieci nie zniechęca ani tolerować nie będzie.

Tak zakończyła się pierwsza ich rozmowa, którą ks. Godinot przeplacił nieprzespaną nocą. Jedną tylko, bowiem z podobnym projektem sam nosił się już od dawna, po drugie zaś

nad ranem przypomniał sobie, że rozmawiając spojrzawszy nagle w oczy korygującego się i deklamującego młodzieńca. I wtedy ks. Godinot przeżył moment rozczarowania: natrafił bowiem na barwę niezharmonizowaną z całością obrazu. Ciemnoniebieskie, żrenice nie miały w sobie nic z rozmazanej smołowatości, jaka winna, zdaniem księdza, zalewać oczy wykonawców sentymtalno-pornograficznych piosenek. Bez cienia zakłopotania wytrzymały ostre spojrzenie duchownego, malowała się w nich niewątpliwie szczerość i odwaga i patrzyły „po żołniersku” — stwierdził wówczas o świcie dawny kapelan spod Verdun i niespodziewanie dla samego siebie doszedł do przekonania, że ma do czynienia z człowiekiem w gruncie rzeczy dobrym i prawnym. I tak po upływie kilku tygodni piłka została po raz pierwszy przetrzucona na drugą stronę muru i nastąpiła pierwsza awantura z rzeźnikiem, ksiądz zaś stanął w obliczu nowych, nieoczekiwanych problemów, związanych z psychologią dziecka. Rozwiązywał je zresztą w sposób mistrzowski i, co ważniejsze, zawsze z praktycznym skutkiem. Natomiast problem „Charles Lelonc” teraz dopiero stał się źródłem żmudnych dociekań i ciągłych porażek wieloletniego znawcy tajemnic ludzkich dusz. Już w kilka miesięcy po pierwszej rozmowie ks. Godinot przekonał się, że filantropijnie nastawieni przyjaciele piosenkarza są po prostu legendą. Lelonc wprawdzie nigdy się do tego nie przyznał i niezmiennie akcentował przy każdej wpłacie pochodzenie pieniędzy, nie ulegało jednak wątpliwości (informatorów, zwłaszcza płci żeńskiej, nie brak nigdy w pobliżu plebanii) — że przytułek finansował on sam. Popularność Lelonca w okupowanym mieście rosła szybko. Ks. Godinot nie dowierzając samemu sobie stwierdził w melodyjnych piosenkach jego kompozycji nuconych coraz częściej na ulicy i w metro absolutną nieobecność pornografii. Cechowała się może pewna ślamazarność i sentymentalizm — zresztą to dość dobrym stylu — jednak ksiądz z wewnętrznym zakłopotaniem zaczynał uświadamiać sobie, że piosenki Lelonca po prostu podobają mu się. Ponadto w ich słowach i melodiach pobrzmiewało dość specyficzny wprawdzie, lecz szczerzy ton patriotyzmu. Mówiły one nie tylko o tym, że już wkrótce tupot podkutych boszowskich butów nie będzie zakłócał czułych randek w Łasku Bułońskim, lecz także — między wierszami oczywiście — zapowiadały defiladę armii de Gaulle'a pod Łukiem Triumfalnym. I to właśnie było główną przyczyną sukcesów młodego kompozytora, rymopisa i wykonawcy w jednej osobie.

Docierające do ks. Godinot wiadomości o Leloncu miały za każdym razem posmak rewelacji. Na ich podstawie ksiądz stworzył sobie obraz człowieka, który śpiewał po teatrzykach, na prywatnych przyjęciach i wszelkich możliwych jawnych i tajnych imprezach, wydawał teksty, nuty piosenek, a całkowite honoraria przekazywał na rzecz dzieci z przytułku. Po pewnym czasie okazało się zresztą, że przytułek był tylko jednym z wielu odcinków działalności Lelonca. Przeliczając swój głos i płody pióra na wysokie i coraz to bardziej w miarę przypływu powodzenia wzrastające sumy — mógł w imieniu swych starannie ukrywających się przyjaciół zjawiać się także w innych sierocińcach, w patronatach opieki nad więźniami i — o czym ksiądz dowiedział się kiedyś od pe-

tającego się wiecznie po mieście wikariusza — mógł Lelonc wtykać pięćset frankowe banknoty bawiącym się na ulicy dzieciom robotniczej biedoty z surowym rozkazem, popartym uderzeniem parasola w bruk: „Zanieś to zaraz mamusi”.

Gdzieś zaś w połowie r. 1943 o uszy ks. Godinot obily się jeszcze ciekawsze i bardziej sensacyjne pogłoski. Otóż Claude wszedłszy przypadkiem w komitywę z dozorcą domu, w którym mieszkał Lelonc, zameldował szeptem niosącym woń podłego „pinard”, że „ten typ, co ksiądz wie — to ani chybi partyzant. Ciągłe tam śpią jakieś obrośnięte typy i ciągle wnosi się i wynosi rozmaite pakiunki, a poza tym tak hojnie oflaca dozorcę, że aż tamten się dziwi. Stary Jacques jest swój chłop i nie sypnie, ale sprawa wygląda niewyraźnie i niech ksiądz uważa. A w ogóle słyszane to rzeczy, żeby taki — tu padło mader soczyste słowo — krecił się po plebanii i jeszcze na dokładkę wlaził między dzieci? Czegoż on ich nauczy?” Ksiądz podejrzewający także już od dawna, że dochody Lelonca opierają się na ciemnych machinacjach handlowych, przerwał strumień wymowy swego kościelnego, zgromił go, zakazując dalszych wzmianek na ten temat.

Tą samą drogą, ku wielkiemu strapieniu księdza — przyszły, wcześniej jeszcze, inne informacje poparte opowiadaniem kilku szanowanych w parafii dewotek. Otóż Charles Lelonc przyjmował w swym mieszkaniu nie tylko nieogolonych młodzieńców o wojowniczym wyglądzie, lecz także całe plutony kobiet. „Takie, ksiądz wie”. Claude z lubością obślinał biulokę rozklejającego się papierosa — „poł metra fryzury i sto kilo buraka z tylniem na gębie”. Oprócz tego częste były relacje, z których wynikało, że Charles Lelonc bynajmniej nie gardził alkoholem. Ks. Godinot zetknął się zresztą kilka razy bezpośrednio z tą właściwością piosenkarza — po prostu Lelonc przyszedł jak zwykle uprzedzając grzeczny i gnąc się w teatralno-wersalskich lansadach, był zupełnie pijany. Ksiądz zignorował wówczas absolutnie ten fakt. Później mocno to sobie wyrzucił. Rozmowy ich miały zresztą dziwny charakter i witali się nader kordialnie: Lelonc starannie dobierając słowa — ksiądz subtelnie ironizując. Później ksiądz — uważał to za swój obowiązek — składał krótkie sprawozdania z życia przytułku, Lelonc zaś słuchając z widocznym zakłopotaniem, rysował na piasku końcem parasola kobiece profile. Z kolej następowała wymiana zdań na temat działań wojennych i pogody, zdań skleconych przez obie strony niezręcznie i pod przymusem, tak jak to zwykle robią ludzie nie mający sobie nic do powiedzenia. Wreszcie Lelonc powoli wyciągał portfel i zależnie od pory roku, patrząc na wierzchołki drzew albo w sufit, wręczał plik banknotów, które ksiądz przyjmował wzdając roztargnionym wzrokiem po otoczeniu. Kilka wytwornych zdań Lelonca, uścisk dłoni i głębokie ukłony kończyły spotkanie. Spotkania te powtarzały się mniej więcej co tydzień; na terenie przytułku Lelonc bywał jednak częściej, niemal codziennie. Tylko że ksiądz starannie go unikał we wszystkich okolicznościach, pominawszy — rzecz prosta — wypadki, gdy Lelonc za pośrednictwem Claude'a wyrażał chęć odbycia rozmowy. Nawijanie przez piosenkarza kontaktu z dziećmi początkowo było na plebanii źle stanowczo źle widziane i z wiadomych już względów ks. Godinot rozważał

L'AN

(Fragment opowieści)

Kazimierz Wołkiewicz

CIE N I E O Z M I E R Z C H U

Zapadła noc. W ciemnej góralskiej izbie panowała głucha cisza przetykana monotonnym szumem płonących w wielkim piecu polan.

Mimo padającego powoli śniegu noc była jasna i przez szyby doś w wyraźnie majaczył kręty pas drogi biegnącej o kilka metrów od chałupy. Z daleka od południa niósł się bezustanny grzmot, odbijający się tysiącokrotnym echem wśród skał. — Na południowym-wschodzie różowiła niebo daleka luna.

W izbie, mimo pozornej martwoty czaiło się życie — na drewnianej ławie przy oknie siedział starszy, lat około 35, mężczyzna i młoda dziewczyna. Oboje wpatrzeni nieruchomo w drogę. Twarze ich tonęły w mroku, jedynie rozżarzony koniec papierosa rozjaśniał na chwilę twarze obojga. Delikatny profil dziewczyny, okrągły podbródek, małe rozchylone dzielnice jeszcze usta, nos z lekko zaakcentowanym garbkim i ciemne piwne oczy wyglądały na tle jasnej drogi jak wcielenie oczekiwania. — Twardy profil jej towarzysza ze zmarszczkami goryczy w kątach ust wyrażał raczej, czujność. Oboje trwali w bezruchu. Z dala z zaśniewanej szosy niósł się ku nim chichy, wzmagający się z każdą chwilą brzęk i metaliczny skrzyp. Z tumanu śniegu za zakrętem ukazały się buchające parą oszronione konie, ciągnące ciemne

z półokrągłym pokryciem skrzypiące od mrozu wozy. Na kozłach siedzieli okutani w jakiegoś fantastycznych draperie nieruchomi ludzie bez twarzy. Obok wozów wlokły się inne ciemne sylwetki, podpierając się kijami. Gdy się zbliżyli do chałupy, widać było wyraźnie ich potwornie grube owinięte szmatami nogi, strzępy różnych powiązanych sznurami letnich płaszczy, o nieokreślonym w nocnej ćmie kolorze. Niektórzy idąc trzymali się wozów, inni próbowali przysiąść się w biegu. W miarę przesuwania się pochodu, piesznych było coraz więcej. Wielu miało przewieszzone na szyi długie karabiny i jakiegoś bezkształtne torby.

Gdy grzmot od gór się wznosił, kolumna na moment przyspieszała kroku, aby za chwilę wrócić do drętowego tempa marszu.

Śnieg padał bez przerwy. Wieś była jak wymarła. Kolumny wlokły się jedna za drugą utykając co chwila. Żaden ludzki głos nie przerywał monotonnego chrzęstu śniegu i przeraźliwego skrzypienia za marzniętych osi.

Mijały kwadranse, godziny — pochód coraz to nowych wynurzających się z pyłu śnieżnego postaci nie miał końca. Czasem wśród wozów zaturkotała nerwowo polowa armatka, czasem między wozami i ludźmi zjawiała się karawana milczących mułów z przytroczonej

mi na grzbiecie skrzyniami. I znówu ludzi... Jedni w spiczastych tułubach, inni w chustkach okręconych wokoło szyi, inni znowu w baranicach, których rozwiane nuszki robiły wrażenie monstrualnych uszu.

W pewnej chwili powstało zamieszanie, fala ludzka spłynęła do przydrożnego rowu, a na szosie ukazały się, dymiąc i zgrzytając opazurzone płaskie zakute łby trzech czołgów. Z metalicznym szczykiem przewaliły się pędem po szosie — oblepione czarnymi figurkami osiekierów i pozostałości z sobą smugę czarnego dymu — zniknęły w kurzawie śnieżnej. Po ich przejściu fala ludzka znowu zalała szosę i znów szły szeregi widm z kijami, patykami i żalonymi szczątkami broni — monotonna w głuchych milczeniu.

Dziewczyna i mężczyzna patrzyli bezustannie, chłonąc oczami dramatyczny pochód. Milczenie przerywał mężczyzna dwoma słowami: pięć lat!

Dziewczyna skinęła głową nie odrywając oczu od szosy. Po chwili powtórzyła machinalnie: pięć lat!

Niebo na południu purpurowiało, ale grzmoty poczęły jakby słabnąć. Świtało.

Przy pierwszym brzasku izba się ożywiła. Dziewczyna wstała i prze-

ciągnęła się mocno — mężczyzna zgarbiony dalej ćmił papierosa.

— Zrób kawy, Irka.

— Tak...

Z nastaniem dnia pochód ustał. Wieś dalej trwała w nocnej martwocie. Na szosie pojawiły się cztery brudno - zielone zjawy. Podtrzymując się nawzajem, podeszły do chałupy. Drzwi stały zawarte jak mur. Zapukały ostrożnie jakby z namysłem. Mężczyzna spojrzawszy przez okno, zastanowił się chwilę, wreszcie poszedł otworzyć. Do izby weszli czterej żołnierze. Z zamrożonych łachów w zetknięciu z gorącym powietrzem izby zaczęła się wydobywać para. Stali milcząc.

Mężczyzna usiadł obojętnie przy oknie. Dziewczyna majstrowała coś przy kopcach. Żołnierze stali niezdecydowani. Wreszcie jeden z nich, usiłując się uśmiechnąć zwrócił się do dziewczyny:

— Panenka, nie być zła, my austriaki — von Wien und Wiener Neustadt — wir sind doch nicht Deutsche, wir wollen nur ein bisschen ausruhen und werden weiter fahren.

— Gehen — poprawiła dziewczyna na ciągle schylona nad kopcami. Mężczyzna tkwił nieruchomo przy oknie.

— Sie verstehen deutsch — ucieszył się na złośliwą uwagę Niemiec.

— Panenka — zbliżył się do niej — bitte ein Glas warmes Wasser, für meinen Kamerad, er ist sehr unglücklich, er ist blind geworden — dodał tonem objaśnienia.

Dziewczyna podniosła oczy, przed nią stał stary człowiek, opatulony w kraciastą derkę; nogi owinięte miał warkoczami ze słomy. Z dziurawych palców rękawic wysuwały się opuchnięte, popękane, pokrwa-wione czerwone palce, oczy miał zawiązane brudną przesiąkniętą ropą, kiedyś białą szmatą, na brodzie jeżyła się siwa szczecina. Wzrok dziewczyny obojętnie prześlizgnął się po rannym.

— Landsturm — stwierdziła rzeczowo. — Ja, ja, przytakiwali wszyscy widocznie uradowani, ja, ja wir sind keine SS — die verfluchte Mörderbande — landsturm aus Wien.

Dziewczyna milcząc podeszła do kuchni, ze stołka zdjęła miskę do mycia, postawiła ją przed żołnierzami na ławie i szybko wylała do niej kawy z dużego kociołka. Para buchnęła po izbie.

Maski mężczyzn rozjaśniły się. Powoli niezdarnie usiedli na ziemi i wyciągnawszy zza pazuch bla-szanki poczęli łapczywie pić wrzątek. Dziewczyna chwilę popatrzyła na miskę, podeszła do szafy, wzięła z torby trzy garści mąki i wysypała do miski.

— Oh gut, wir danken schöne Panenka...

Brwi dziewczyny się ściągnęły. — Woher gehen Sie — przerwał milczenie mężczyzna.

— Von Konstanza und Koszyce. — Und so zu Fuss? — Ja, tausend Kilometer. — Und nach Wien?

— Selbstverständlich. — Ciszta zaległa izbę. Łachmany parowały wydając nieznośny odór.

Żołnierze drzemali, gorączkowo rzeżąc. — Gdzieś w oddali zahuczały armaty. Powoli wstali. — Danke für alles — powiedział jeden.

— Auf Wiedersehen. — Grüss Gott.

Polacy milczeli. Żołnierz rozejrzał się i jakby przez chwilę zawałał się — chciał coś powiedzieć, ale odwrócił się i powlókł do drzwi wraz z towarzyszymi. Gdy trzasnęły drzwi w sionce, mężczyzna wstał od okna i podszedł do dziewczyny. Chwilę popatrzył na nią jak na jakiś obcy przedmiot.

— Słuchaj, Irena, na przyszłość ty mi przyjdź dla tych drani nie urządzaj, żeby to było pierwszy i ostatni raz.

— Dobrze Tadek — szepnęła pokornie — ale ten stary...

— Twój ojciec też był stary — powiedział twardo. Urwał, łyż potoczył się po policzkach.

— No nie płacz — zmienił ton — wszystko już za nami.

Ale Irkę trudno było uspokoić — rzuciła się na łóżko i wtuliwszy twarz w poduszkę aż dygotało od zschodu.

Tadek chodził po izbie paląc papierosa, podszedł do komina wydo był maszynkę do kawy i zaczął parzyć. Po izbie rozszedł się aromat dobrobytu.

Irena usiadła na łóżku. — Bardzo Cię przepraszam za tę histerię, ale to jeszcze takie świeże... takie świeże...

Dzień zrobił się na dobre. Śnieżyca ustąpiła. Po szosie przemknęły bez dzwonek góralskie sanki.

Irena przy kominie obierała kartofle. Tadek pisał pod oknem. W dali biała i srebrna lśniły Tatry. Za szosą czarno - zielone światki nieruchomo trwały w oczekiwaniu.

Minął dzień.

Od szosy znowu zaczęły dobiegać znane już dźwięki wozów. Po prostu miało się wrażenie, że mrok odczarował z ciemnej ściany boru pochód wczorajszych upiorów.

I znów Tadek z Ireną usiedli przy oknie obserwując pełznące szczątki. A gdy późno w noc zasy-piali, kołysała ich do snu oczekiwana od pięciu lat muzyka — muzyka wyśnionej kleski.

Czwartego wieczora daremnie czekali — na szosie nikt się już nie pojawił, a huk armat przeniósł się na północ w stronę Czarnego Dunajca.

Rankiem zbudził ich trzask padającego pnia — wyskoczyli do okna. W poprzek szosy leżały zrabowane słupy telegraficzne — światła nie było. W dali cichnął warkot ciężarówki.

Irena patrzyła na leżące słupy oniemiała z wrażenia. Tadek przyglądał im się z napięciem. Panowała uroczyście cisza...

— To już koniec — powiedziała z głębokim oddechem dziewczyna.

— Tak, koniec, — powiedział mężczyzna. — Jesteśmy u siebie...

Kazimierz Wołkiewicz

L'Angelus

(dokończenie ze str. 5)

Wszedł na dziedziniec. W głębi przewijali się ludzie w białych kitlach, pomiędzy nimi harcowała dzieciarnia, coś tam przenoszono, ustawiano, nad czymś radzono. Już go zauważyli. Szedł ku niemu starszy, szpakowaty mężczyzna, za nim postępowała młoda dziewczyna. Ksiądz zwrócił uwagę na rzadko spotykaną kształtność jej sylwetki i piękny chód. Mężczyzna przedstawił się, po czym wyjaśnił, że instaluje w przykościelnych budynkach szpital, i że liczy na pomoc księdza proboszcza. Oczywiście ks. Godinot pomoc obiecał. Starszy pan odszedł dziękując z wylewnością południowca. Dziewczyna została

— Proszę księdza — zaczęła nieśmiało. — Ksiądz zwrócił ku niej głowę. — Czy ksiądz nie wie, przepraszam bardzo, że mu zabieram czas, czy ksiądz nie wie, co się dzieje z Charlesem Lelonce? On tu u księdza podobno często bywał...

Jej regularne rysy wyrażały coś więcej nad niepokój, czy troskę. To był ów rzadko spotykany smutek prawdziwej tęsknoty. Ksiądz Godinot nie nabral jęszcze pewności, czy domysły jego są słuszne, toteż odpowiedział:

— Widziałem go ostatni raz wczoraj. A pani dawno go zna?

— Od czterech lat chyba...

Księdzem targnęła wściekłość. Powie jej. Zaraz powie. Niech idzie tam i patrzy! Może zrozumie wartość tamtego człowieka, nauczy się na całym życie, czym grozi lekceważenie ludzkich uczuć. Zreflektował się jednak. A on sam... co myślał? Co zamierzał jęszcze wczoraj? A zresztą, czy brak wzajemności dowodzi nieposzanowania wartości, czy jest grzechem?... Absurd!

Dziewczyna tymczasem mówiła dalej:

— Bo proszę księdza, ja wyrzuciłam mu krzywdę. Ksiądz wie, jaki

to człowiek... I ja wiedziałam, tylko... z jakiegoś niemądrej przekory...

Zrozumiał.

— Ivonne! — zawołał ktoś z okna — chodź do opatrunków.

— Muszę lecieć! Więc, jak ksiądz się czegoś dowie, to...

I wtedy ks. Godinot zdecydował się na jedno z dobroczynnych kłamstw, którymi niegdyś szafował szczerze w forcie Vaux:

— Niech się pani nie martwi, wszystko będzie dobrze, przyjdziecie do mnie oboje, tu, do tego kościoła...

Gwałtownym wybuchem kaszlu zamaskował załamanie głosu.

Roześmiała się radośnie i pobiegła.

Ksiądz poczuł nagle, że słabnie. Dołkliwy ból serca zdławił mu oddech, ziemia zakoiysała się pod nogami, przed oczyma wystąpiła żółta mgła. Chwiejąc się na nogach, podszedł do najbliższego drzewa, oparł się o nie całym ciałem i odetchnął głęboko. Wracając przytomność, a z nią tragiczne pytanie, które wynurzyło się w nim po ostatnich słowach tamtej dziewczyny. Dlaczego? Dlaczego dwójce ludzi wbrew swej woli kopie między sobą przepaść, dając dwa go-dziny temu musiał zginąć Lelonc, dlaczego jutro Ivonne musi przeżyć swój dramat? Po co te gąszczę podejrzeń i intryg, obłądana strategia szarego człowieka? I miłość? Czymże jest ta zwyczajna, ludzka miłość, uczucie, które częściej ludzi rozdziela, niż łączy? Czyżby była czymś bezapelacyjnie grzeszonym, godnym potępienia?

A przecież dzięki niej właśnie Charles Lelonc odnalazł drogę miłosierdzia! Czyżby naprawdę cierpieć trzeba było aż tak strasznie, choćby męką całego życia, za najdrobniejszy nawet błąd? Bo coż w głębi rzeczy zawiniła Ivonne.

Od strony kościoła doleciał go brzęk kluczy

Z wysiłkiem oderwał się od pnia i wolno, krok za krokiem, szedł ku drzwiom kościoła. Wchodził już na kamienne stopnie, gdy gdzieś w głębi duszy dosłyszał odpowiedź, dosłyszał głos ten sam, który przed laty w Saint-Cyr nakazał powziąć decyzję odejścia.

Jakże mógł wątpić choćby przez chwilę w Bożą sprawiedliwość? Jakże mógł nie zrozumieć, że oto Bóg powołuje człowieka na drogę cierpienia z bezmiernej ku niemu miłości? Pochyl z pokorą głowę, księżę Godinot, przed niezbadaną treścią Bożych wyroków, albowiem nie wiesz nigdy, którego spośród twych bliźnich upodobał sobie Pan i jakim szlakiem powiedzie go do Swego Królestwa.

Ke Godinot przykłęka na progu. Zacięniętą pięścią bije się w zapadniętą pierś. Przez grube mury przedziera się ku niemu srebrzysty dźwięk sygnaturki. Wstaje i idzie ku głównemu ołtarzowi. Głuchym echem odbija się o kopułę odgłos jego kroków. W kościele nie ma dziś nikogo. Nie, przy ołtarzu kłęczący Jean Pierre.

— Boże! — wybucha modlitwą ks. Godinot — spraw, abym nie skrzywdził nigdy tego chłopca, abym nie skrzywdził już nigdy nikogo, naucz mnie, Boże, miłości prawdziwej ku Tobie, naucz mnie miłosierdzia, spraw, bym Ci ofiarować mógł ofiarę mego cierpienia.

Przykłęknął na stopniach ołtarza i wpatrując się w oblicze Jezusa Ukrzyżowanego, zduszonym głosem rozpoczął modlitwę:

— Anioł Pański zwiastował Pannie Marii...

A kiedy usłyszał pełen powagi fałset Jean Pierre'a:

— Święta Mario, Matko Boża. módl się za nami grzesznymi...

pomyślał sobie niewiedomo czemu że ludzie jednak są dobrzy.

Jerzy Andrzej Górski
Warszawa 1949.

Każdy katolicki działacz społeczny

KAŻDY KATOLIK

musi

przeczytać książkę

Ks. F. Mirka

ZARYS SOCJOLOGII

Wyd. Katolickiego Uniwersytetu
Lubelskiego 1948 r.
Do nabycia w księgarniach
katolickich.

Stanisław Kolbuszewski

KSIĄDZ ROBĄK

Wśród soplicowskiego grona, rozbawionego, żyjącego bujną radością przebywa samotnik, z którego „pieśni życia” nikt całej myśli nie umiał wysłuchać, ani okiem nie objął wszystkich ducha jej promieni. Uczucia jego, myśli jego, życia jego wielkość, zagarnęła w siebie i przetworzyła bohaterska pokora, w pokutną włosienicę odziana. Kim był i jakim był Jacek Soplica zanim stał się Robakiem, o tym opowiada jednostronnie Gerwazy, i o tym on sam opowiada w godzinę śmierci, na siebie i przeszłość swoją patrząc oczyma cierpienia i oczyma świętości grzechem przerażonej. Grzechem atoli jest wszystko skalane, co ma związek z życiem; grzech, w życiu łowiący i czyniący z życia piekło. Robak zapragnął złamać, ażeby dać początek nowemu życiu. Alternatywa bowiem jest taka: życie dla człowieka — życie dla Boga, tzn. wstawienie człowieka na miejsce Boga lub podporządkowanie go Bogu. W konstrukcji poematu są to dwie drogi jednego człowieka — Jacka Soplicy i Robaka. Tym sposobem ta postać stała się symbolem dwu postaw człowieka wobec życia, dwu treści życia.

Dwa momenty pokazano czytelnikowi współcześnie i jednocześnie: przeszłość i chwilę bieżącą. Po stać Jacka budzi sympatię i niechęć, postać Robaka budzi podziw. Z dwóch brył rozmaitych stworzył Mickiewicz człowieka pełnego, o bogactwie przeżyć psychologicznych niezwykle, kreację znakomitą. Dokonał tego, czego nie dokonał przed paru laty, lepiąc Konrada Wallenroda z rozmaitych ilów. Bogactwo psychiki Jacka — Robaka stał się wywodzi, że jest to człowiek, który przeszedł wszystkie dostępne człowiekowi drogi — drogę wspaniałości, ziemskiej chwały, uznania, podziwu; drogę miłości i miłosnego strasliwego zawodu; drogę wzdargi i pohąbienia; drogę rozpacz i nieszczęścia; drogę zbrodni, upadku, nicości moralnej; drogę cierpienia, ofiary, bohaterstwa, ekspiacji, wyzwolenia, świętości. Jacek-Robak, zachowując pełnię rysów indywidualnych, stał się — bodaj jedyny w literaturze polskiej — symbolem pełni człowieczeństwa. Pełnię bowiem człowieczeństwa daje nie sama codzienność życia, ani samo szczęście, ani bohaterstwo ani sama wielkość. Pełnię człowieczeństwa osiąga się dopiero, przeszedłszy wszystkie drogi życia i życia zwykłość najwzyczajniejszą, poznawszy i nieszczęście „światowej rozkoszy” i Monsalwat świętości. Na tym właśnie polega wielkość kreacji Mickiewicza, nazwanej podwójnym imieniem: Jacek Soplica — ksiądz Robak. Jak każda z postaci poematu, posiada swoją odpowiednią parę, tak samo zjawisko to i tu występuje; towarzyszem jednak jedynie godnym Jacka Soplicy jego wielkości i jego nędzy, był tylko on sam, on jako Robak, jako kontrast tamtego i jako tam tego dopełnienie.

Materialem ksiądz Robak jest w poemacie obecny do X ks. włączając, tajemniczy, trochę podejrzanie wyglądający mnich, o postawie i ruchach starego wygi obozowego. Promienie słońca, szczerze rozrzucone w utworze, na głowę Robaka raz tylko padły — w godzinę śmierci jako znak z nieba. Poza tym ks. Robak przesuwa się w półmroku, a gdy jest widoczny, to nas intryguje swoją odrębnością od wszystkich; na prawdę nie widzimy go nigdy tak, jakbyś-

my tego pragnęli. Mickiewicz tu stwarzał stałe niedopowiedzenia: krótki pacierz w czasie wieczery w ks. I, lakoniczna odpowiedź i niechętna dana Podkomorzemu, gdy go zagadnął o politykę, ogólna, a bardzo zagadkowa charakterystyka mnicha podana przez samego poeetę na końcu tej księgi, to wszystko, czego dowiadujemy się o Robaku na początek. Poeta wyraźnie i celowo intryguje czytelnika, z cienia na moment wyprowadziwszy postać zakonnika, już cofa ją, zanim ją spostrzeczemy w stanie. Od pierwszej chwili poematu wskutek takiego sposobu pokazania, Robak odbija od tła, skupia na sobie uwagę, niepokoi — kto on zasz? Do ostatniej księgi dziesiątej, w której żywota jego treść rozwinęła się w spowiedzi — nie przed księdzem, ale przed świeckim człowiekiem, przed wrogiem śmiertelnym — cały czas Mickiewicz pokazuje go Rembrandtowskimi sposobami: rzuca płamę świetną jedną na półmroczną całość, a ta plama nic nie rozjaśnia, lecz potęguje wrażenie tajemniczości. Ciągłe niewyraźne ustawiany na pierwszym planie, ciągle oświetlany niedobrze, pokazuje się tak Robak po sam koniec, wkracza na chwilę na przed poematu i zaraz w głąb się cofa lub kryje: gdy odpędza Hrabiego od ogórków, gdy prowadzi narady agitacyjne w karczmie, w czasie polowania, w czasie rozmowy w pokoju z Sędzią w nocy, przed bitwą, w chwili bitwy. Tak przesuwa się on przez Soplicowo.

Postać dwojaka i dwojaki jej charakter: zawiadaka, paliwoda, kłótnik, pełen fantazji, życia, staropolskiego humoru, człowiek lubiany, szanowany, ceniony, popularny — przed zabiciem Stolnika. A potem? Otóż my nie wiemy naprawdę jakim był potem ten człowiek, wciąż nadrabiający humorem rubasznym, nienaturalny w sposobie poruszania się i mówienia. Ta sztuczność, którą się w nim ustawicznie wyczuwa, tłumio na usiłowaniu, ażeby być naturalnym, ta sztuczność podwójna czytelnika męczy — my wiemy tylko i my to widzimy, że w Robaku kipi jakaś szalona, gaszona starannie energia, a z nią w dziwnej harmonii współżyje promieniu jąc odeń dostojna powaga.

„Wybujała żywotność sił psychicznych” — to jego główna cecha charakterystyczna. Przejawiała się ona w świecie zewnętrznym jako człowiecza pewność siebie, śmiałość, dzielność i przedsiębiorczość, a w świecie wewnętrznym jako silnie spętowana wrażliwość uczuciowa, jako żywiołowa gwałtowność. Z takich cech psychicznych w pewnych warunkach muszą się rozwinąć takie koleje życia, przez jakie przeszedł Jacek-Robak. Te zaś jego rysy psychiczne — wszystkie — to są rysy typowe psychiki polskiej, widoczne zarówno dzisiaj — zwłaszcza w momentach wstrząsu wojennego, mające warunki do pełnego ujawnienia się — ale widoczne głównie w historii polskiej między XVI wiekiem a końcem wieku XVIII. Z tej właściwości natury polskiej może wypłynąć bohaterstwo albo zbrodnia, albo w kolejnym następstwie zbrodnia, a potem bohaterska pokuta. Ta wcielona w Robaka właściwość duszy polskiej nie jest jednak jedną jej właściwością, lecz jest może najbardziej wydatną, najsilniejszą, najjaskrawiej wpływającą na koleje życia, decydującą o życia całym biegu. Dla-

go dał ją Mickiewicz osobie w poemacie najważniejszej, gdy inne postaci w różny sposób wcielały w siebie różne inne rysy natury polskiej.

Jak wspominałem, historię Jacka Soplicy w dwojakiej słyszmy interpretacji, Klucznika Gerwazego i Robaka; w obu razach sposób przedstawienia nie jest wolny od pierwiastka subiektywnego, co więcej, subiektywizm osoby zdającej z wydarzenia relację silnie ją zabarwia. W ujęciu Klucznika Stolnik jest wielkim i wspaniałym, natomiast Jacek zdrajcą i mordercą. W ujęciu Klucznika rozwinął się wstrząsający dramat rodziny Horeszków: na bohaterskim obrońcy ładu i porządku i polskości dokonał morderstwa sprzymierzony z wrogiem kłótnik, pyszałek, człowiek bez zasad, renegat. W ujęciu Robaka też sama rzecz wygląda z gołą inaczej. W jego opowiadaniu rozwinął się wstrząsający dramat Jacka Soplicy: to nie jest historia odpalonego konkurenta, to nawet nie jest sama tylko historia biednej, romantycznej miłości czło-wieka, który — „ze wszystkich nie szczęśliwszy ludzi” — „nie kocha, że kochał zapomnieć nie zdoła”. Jacek Soplica to przez pysznego, chytrego magnata w swej człowieczej godności podeptany człowiek, to człowiek wyszukany wskutek ustroju socjalnego, który przepaść przesady i kłamstwa między ludźmi wykopywał; nie renegat, nie zdrajca, ale nieszczęśliwy wielokroć krzywdzony — przez człowieka, przez społeczeństwo, przez kłamstwo życiem rządzące, przez własną pychę szlachecką, przez autostugę, wreszcie przez „dole, los, wieczną krzywdę”.

Człowiek nigdy w pełni nie pojmie człowieka, a sądząc go, sąd daje na siebie. W opowiadaniu Klucznika o śmierci Horeszki jest część prawdy, widzianej oczyma wiernego, starego sługi i jest kłamstwo zaślepionej nienawiścią duszy, kłamstwo niewiedzące o sobie. W opowiadaniu Robaka jest próba zbiegania z prawdy subiektywnie obowiązującej, jest próba bodaj częściowego usprawiedliwienia nie morderstwa, ale przestępstwa, jest próba pojęcia Stolnika jako człowieka, który — tak się to tu wydać musi — „nie był człowiekiem ni razu”. Czytelnik widzi go takim — oczyma tego pokrzywdzonego, który stracił wszystko. Dlatego i opowiadanie Klucznika i spowiedź Robaka nie są epickim sposobem przedstawienia akcji, lecz dramatycznym. Nie ma tu obiektywizmu w odtworzeniu rzeczywistości; tutaj jest dana dwukrotna subiektywna interpretacja faktu, tutaj jest tak, jak w dramatach Pirandella, bo i tutaj można by powiedzieć: *Così è (se vi pare)*, albo też *Ciascuno a suo modo*. Stał więc tutaj właśnie wykładanie się przed nami, najbardziej niepokojące z wszystkich, pytanie: „quid est veritas?”. — Któżaż prawda jest prawdą, jeżeli zarówno Gerwazy jak i Robak są w wyznaniach swoich szczerzy?

Gerwazy w swojej opowieści pa-trzy na wydarzenie sprzed lat oczyma sprzed lat i trwa w uporze duszy, znajdującej „consolationem optimam” w rozpamiętywaniu nieszczęścia wciąż w jeden i ten sam sposób, — trwa w uporze duszy tragicznej, barbarzyńsko prymitywnej, a miłującej z wiernością zwierzęcą. On wciąż do wydarzenia skończonego wraca jedną i tą samą drogą, wydeptaną stopami

wiernego sługi; Gerwazy już nigdy inaczej przeszłości nie zobaczy, jak tylko poprzez własną sugestię.

Czyż jednak tak samo nie jest z Robakiem? Człowiek bowiem życie świata i życie własne, w przyszłość odchodzące, widzi jako własne doznanie psychiczne i nie jest rzeczą zawsze możliwą zbiektywizować to doznanie. Ksiądz Robak, który długie lata spędził w pokucie, który ma świadomość zbrodni ciężkiej na sobie i który ma świadomość, że życiem własnym, męką, pokutą, spełnieniem ofiarnym obowiązku, grzech zmaże, a miłosierdzie boże sobie wyjedna.

Ks. Robak myśląc o wydarzeniu sprzed lat, będzie je widział stale oczyma... Jacka Soplicy. Tu mieści się istota konfliktu tragicznego. Pierwiastek dramatyczny rozsada opowieść; opowiadanie o wydarzeniu minionym przedstawia się w interpretacji sługi i w interpretacji zabójcy jako tragedia wciąż się powtarzająca w ich pamięci, wciąż żywa i trwająca.

Tak zaś pokazując tragiczne dzieje Jacka Soplicy, tzn. przedstawiając je jako wydarzenie, które minęło i przedstawiając je w formie wyznania samego bohatera, wraca Mickiewicz do techniki zastosowanej w swoim arcydziele młodzieńczym, w *Dziadów* cz. IV. Tam dzieje Gustawa nie były pokazane jako fakt dziejący się współcześnie, ale jako fakt dokonany, którego reprodukcję dawał bohater sam, powracając myślą i sercem w czas miniony, ażeby go odszukać, ażeby treść jego znowu przeżyć, a nade wszystko w pełni wszystko pojąć. I oto jak Gustaw jesienią w krótkie trzy godziny przedpółnocne „ściskał” historię głównych etapów swojego życia, dzieciństwa szczęśliwego i nieszczęśliwej miłości, tak ksiądz Robak w krótkich godzinach nocy letniej, po północy, do świtu odtwarzał główne momenty historii swojego żywota, lata młodości i czasy miłości. W jednym więc i drugim wypadku wydarzenie w życiu skończone i bezpowrotnie minione pokazane było przez pryzmat wspomnienia o nim, w jednym i drugim wypadku bohaterowie przemierzali w pamięci drogę odbytą ongiś faktycznie, aby wreszcie poznać rzeczywiste oblicze przyszłości — wyruszyli „à la recherche du temps perdu”. W obu wypadkach wydarzenia, które w rzeczywistości rozciągnięte były na długą przestrzeń czasu, teraz wspomnienia tych wydarzeń, bohaterowie zamykali w krótkie godziny, wskutek czego dzieje ich nabierały zwartości, dramatycznej siły i ekspresji.

IV cz. *Dziadów* była liryczno-epicką spowiedzią nieszczęśliwego. Mickiewicz dawał próbę jej uzasadnienia przez wprowadzenie postaci księdza — była to niemal faktyczna spowiedź przed księdzem. W Panu Tadeuszu ksiądz się spowiadał przed człowiekiem, który już ostatni i jedyny na tym świecie miał moralne prawo ludzkiego przebaczenia zbrodni. Ze stanowiska artystycznego była to w jednym i w drugim wypadku świetna realizacja postulatów estetyki romantycznej, była to — poezja wspomnienia. Rzeczy w rzeczywistości nie tylko bolesne, lecz nawet straszne i wstrząsające tutaj w obu utworach były przedstawione jako już skończone, jako już wymazane z życia, jako przeszłość złożona do sarkofagu. Ale nad nią w obu wypadkach stało wpatrują-

się w ów grób — życie; od śmierci nie padał na życie. I ten fakt potęgował siłę tragizmu owych tragicznych wydarzeń, potęgował tragiczność samych bohaterów tych wydarzeń. Poemat dowodnie okazywał, że losu bohaterów już nie nie mogło odmienić, życie nie im już dać nie miało z ziemskiego, ludzkiego szczęścia, skoro jeden z nich był obłąkany, a drugi stał w obliczu śmierci.

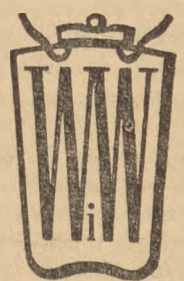
W dwojakim naświetleniu — przez Gerwazego i przez Robaka — pokazane tragiczne dzieje Jacka Soplicy oraz historia Stolnika, wybijają się na czoło poematu, stają się ważniejsze niż wszystkie inne wydarzenia. Te inne bowiem, są to sprawy życia codziennego, społecznego, politycznego itd. Sprawa zaś Jacka Soplicy i sprawa księdza Robaka obejmuje tamte wszystkie zagadnienia, a oprócz nich porusza, akcentuje i próbuje rozwiązać problem wieczny: jaki jest sens życia ludzkiego. W tej postaci dał Mickiewicz syntezę artystyczną własnych ideałów, tęsknot, pragnień i własnego poglądu na życie, stwierdzał konieczność ofiary ze swojej indywidualności na rzecz ogółu, samozaparcia i polepszenia duszy własnej, ażeby tym sposobem mądrzej, lepiej i szlachetniej pracować dla bliźnich. Dał tu Mickiewicz artystyczne stwierdzenie własnej prawdy etycznej i zrealizował w dziele sztuki własną tęsknotę za życiem oczyszczonym z osobistych dążeń, z pragnień osobistego szczęścia, dał artystyczne stwierdzenie tęsknoty własnej, która w chwili rozmów z Garczyńskim i po śmierci przyjaciela ożyła w nim znowu, tęsknoty za życiem zakonnym i dał bolesne stwierdzenie prawdy, że ideał życia można osiągnąć, wyrzekłszy się świata. Ale wyrzeczenie się świata, nie było jednoznaczne z przekreśleniem obowiązków człowieka wobec społeczności. Wprost przeciwnie, oznaczał obowiązek najwyższy, a nazywał się on — służba Polsce.

Stanisław Kolbuszewski

SPROSTOWANIE

W 27 (289) numerze naszego pisma na skutek przeoczenia korektorki zakradła się przykra pomyłka. mianowicie: nie podano nazwiska autorki fragmentu prozy poetyckiej Św. Jan Chrzyciel. Jest nią — Z. Zawisanka. Za pomyłkę przepraszaamy Autorkę i Czytelników.

WNĘTRZE I WYSTAWA
PL. GRZYBOWSKI 2 WARSZAWA



SP ZOŃ.

PROJEKTUJE I WYKONYWA
WNĘTRZA I WYSTAWY
WSZELKIE WNĘTRZA
ŁĄCZNIE Z MEBLAMI
BUDOWA WYSTAW

Tydzień kulturalny

NARESZCIE FILHARMONIA

W dniu 20 lipca nastąpiło rozpoczęcie odbudowy Filharmonii Narodowej w jej dawnej siedzibie przy ul. Jasnej.

Według założeń przedstawionego projektu, gmach Filharmonii będzie odbudowany na dawnym miejscu przy ul. Jasnej nr 5, jednak w zmienionej postaci, jako gmach luźno stojący. Główne wejście do gmachu Filharmonii będzie od ul. Sienkiewicza, a nie od Jasnej, jak poprzednio.

Wielka sala koncertowa o 1.400 miejscach pozostanie w niezmienionej postaci, natomiast sala kameralna, licząca 450 miejsc znajdzie pomieszczenie w podziemiach, dotychczas nie wykorzystanych. Wielka sala, która miała dawniej tylko jedno stojące, obecnie otrzyma trzy. Głównym reprezentacyjnym salonek, stanie się dawna sala „Teatru Małego”, znajdująca się na tyłach wielkiej sali od strony ul. Moniuszki. Wygląd zewnętrzny gmachu ulegnie również zmianie. Projekt odbudowy architekturę jego rozwiązuje w duchu, właściwym Warszawie w stylu „klasycznym”, mającym najlepsze tradycje z czasów Stanisława Augusta.

ARTYŚCI POLSCY WYJECHALI DO MOSKWI

Na gościnne występy do Związku Radzieckiego wyjechała grupa polskich artystów — muzyków w osobach: skrzypaczki Grażyny Bacewiczówny, śpiewaczki Marii Drewniakówny, śpiewaków Jerzego Adamczewskiego i Bogdana Paprockiego, pianisty prof. Jana Hoffmana oraz akompaniatorów prof. Bacewicza i Raczkowskiego.

PRZEGLĄD DOROBKU PISARSKIEGO

W dniu 22 lipca otwarto w nowo-wbudowanym Domu Literatury (Kra-kowskie Przedmieście) wystawę pn. „5 lat odrodzonej literatury polskiej”. Wystawę organizowana przez Zarząd Główny Związku Literatów Polskich, obrazuje dorobek pisarzy polskich w latach 1944 — 1949.

NAGRODA NAUKOWA M. ST. WARSZAWY

JURY nagród artystycznych m. st. Warszawy na posiedzeniu w dniu 16 b. m. przyznało nagrodę naukową m. st. Warszawy w wysokości 120 tysięcy zł — prof. Uniwersytetu Warszawskiego, dr Stefanowi Pieńkowskiemu.

Posiedzeniu jury przewodniczył wiceprezident Związku Stolewicz Rady Narodowej — Zygmunt Dworakowski.

W uzasadnieniu jury stwierdziło, że nagroda naukowa m. st. Warszawy została przyznana prof. Pieńkowskiemu, za całokształt pracy naukowej, a szczególnie za wybitne zasługi, położone w okresie powojennym przy organizowaniu nauki polskiej oraz największego w Polsce ośrodka badawczego fizyki doświadczalnej.

WYSTAWA OBRAZÓW MATEJKI

W dniu 22 lipca rb. otwarta została w gmachu Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków (dawna „Zachęta”) czasowa wystawa, arcydzieł Jana Matejki.

Po 10 latach przerwy monumentalny obraz pt. „Bitwa pod Grunwaldem” zawisł już na swym dawnym miejscu.

Na wystawie oglądać będzie można poza tym „Kazanie Skargi”, „Konstytucję 3 Maja” przeniesioną czasowo na okres wystawy lipcowej z warszawskiego Muzeum Narodowego oraz obrazy „Batory pod Pskowem” i „Rejtana”.

Wystawa otwarta będzie od dnia 22 lipca rb. do 5 sierpnia rb.

Karol Kornik

ZAGADNIENIE FORMY CZASOPISMA

Dlaczego obrazy, dobre i złe, zwykło się oprawiać w ozdobne ramy? Dlaczego karoseriom dobrych i złych samochodów nadaje się kształt opływowy? Dlaczego okulary przeciwsłoneczne w estetycznej oprawie cieszą się znacznie większym powodzeniem, niż okulary o oprawie zwykłej?

W pięknych ramach można zamknąć bezwartościowy oleodruk. Nowoczesna limuzyna o idealnie aerodynamicznych kształtach może kryć pod maską marny silnik. Wspaniałe, w plastik oprawne okulary mogą mieć szkła szkodliwe dla oka.

Zewnętrzna forma, choćby była skóńczenie piękna, nie wypełni pustki wewnętrznej i nie podniesie efektywnie treści istotnej przedmiotu czy dzieła. To zdaje się nie podlegać dyskusji.

Ale ktoś chciałby jechać dziś Rolco-Roycem z przed pierwszej wojny światowej (niezawodny motor!), kto znajdowałby przyjemność w czytaniu utworów Mickiewicza, wydanych na podlego gatunku gazetowym papierze?...

A więc forma zewnętrzna nie jest bez znaczenia. Odgrywa poważną rolę zarówno w przedmiotach użytkowych, jak i w dziełach sztuki.

Pozytywna, udana forma nie zawsze musi zaspakajać tkwiącą w nas organiczną potrzebę piękna. Lecz jednocześnie musi istnieć czynnik drugi: udana forma, t. j. taka, którą przyjmujemy z przyjemnością i której szukamy — to forma atrakcyjna, pociągająca oko i pobudzająca do pracy myśl. Forma udana stanowi więc dopełnienie udanej treści, ułatwia lub uprzyjemnia przyswojenie tej treści lub korzystanie z niej.

Oczywiście trzeba tu uwzględnić ważną kwestię mody, która nie rzadko dyktuje i narzuca kształty nieoczekiwane i pozornie nieuzasadnione względami natury merytorycznej czy estetycznej. Ale to już zagadnienie odrębne.

SZTUKA CZY MAGIA?

Słusznie mówi się, że gazeta jest dla człowieka cywilizowanego nieodzownym pokarmem i przedmiotem codziennego użytku. I dlatego nie bez racji traktuje się prasę jak siłę równorzędną największym potęgom świata. Prasa stanowi ważki instrument oddziaływania na szerokie warstwy ludności: społeczeństwo, grupy społeczne, narody. To są już zresztą dzisiaj truizmy.

Druk, papier, ilustracje — oto zasadnicze elementy materialne, przy pomocy których czasopismo przekazuje czytelnikowi właściwą treść.

Znany francuski publicysta — Lucjan Romier pisał nie bez słuszności w „L'Opinion” (z 26.I.1923 r.): „Opinia publiczna ocenia ważność wydarzeń już nie na podstawie mniej lub więcej przekonywających rozumowań publicystycznych, lecz według formy podania wiadomości, według ich układu graficznego”.

Poziom nowoczesnej poligrafiki i fotografiki jest tak wysoki, że coraz bardziej sztuki te stają się — magią (Loebl pisze o „hypnozie druku”). Jeżeli dzisiejsze drukarstwo zdolne jest zasugerować, przy pomocy dostępnych sobie środków, inteligentnego i kulturalnego człowieka, wlewając weń pewne quantum wiadomości lub nawet własne opinie o tych wiadomościach — to znaczy, że „coś w tym jest”.

I istotnie, „coś w tym jest”. Bo przecież wystarczy wziąć do ręki jakikolwiek dwa dzienniki i porównać je. 90% materiału bieżącego i aktualnego będzie się w jednym i drugim piśmie powtarzało. Powiedzmy, że są to wiadomości o jakiejś ważnej konferencji międzynarodowej. Jedną z gazet ujmie to w formę alarmu i pod-

kreśli przy pomocy wymiaru i kroju czcionek, wytluszczenia, układu itp. sposobów — groźbę dla pokoju światowego. Druga gazeta tę samą wiadomość poda spokojnie, bez celowych graficznych podkreśleń.

Wrażenie, jakie odniesie czytelnik, będzie w obu wypadkach różne, chociaż treść pozostaje ta sama. Oto jak wielki jest autorytet druku.

FORMA ZMIENIA TREŚĆ

Wydaje się jednak, że trzeba by się tu zastanowić, czy sposób wyrażania sądu lub podania jakiejś treści nie będzie zmieniał i meritum samej treści.

Przykład: Ktoś chce przejść jezdnią ulicy w ruchliwym miejscu miasta. Nagle z tyłu słyszy rozdzierający krzyk: „Uwaga!”. Kelner w restauracji rozności potrawy, a spotkanych w przejściach gości ostrzega łagodnym głosem: „Uwaga!”.

Treść ta sama, lecz jakże różne jej znaczenie. Intensywność napięcia i ton podania decydują o efekcie. A więc i o treści.

To samo odnieść należy do sposobu, w jaki można identyczny wypadek przedstawić przy pomocy słowa drukowanego. Zdecydują o tym: miejsce zamieszczenia (ta sama rzecz może być zamieszczona na pierwszej kolumnie od góry, lub na drugiej czy czwartej od dołu), czcionki, ilustracje tekstowe i tytuły.

Tytuł notatki czy wzmianki należy rozpatrywać już na pograniczu formy i treści.

Znowu przykład. Rok 1938. Wojska hitlerowskie wkroczyły do Czechosłowacji. PAT podała komunikat, który zamieszczony został przez całą prasę w identycznym brzmieniu. Dzienniki lewicowe zaopatrzyły wiadomość tę w tytuły tego rodzaju: „Nowy akt niemieckiego bezprawia”, „Hitlerowscy rozbójnicy atakują terytorium Czechosłowacji”. Dzienniki prawicowe zatytułowały komunikat inaczej („Wojska niemieckie zajmują Czechosłowację”).

OLSNIĆ — NIE PRZEKONAC

Nauka zwana psychologią społeczną mówi dużo o instynktach ludzkich. Jednym z takich instynktów, tkwiących w każdym z nas, jest instynkt podporządkowania. Podporządkujemy się komuś lub czemuś bądź ze względów rozumowych bądź emocjonalnych. I choć instynktownie do tego dążymy, to jednak pewien zespół czynników musi na nas oddziaływać.

Podporządkowanie się opinii, wyrażonej przez dziennikarza czy publicystę, zależy w dużym stopniu od formy wyrażenia tej opinii.

Czytelnik woli, jeżeli się go olśni, niż przekona — mówi dowcipnie i trafnie Robert de Jouvenal („Dziennikarstwo”). I dlatego tak wielką rolę odgrywa spełnienie warunków optycznej atrakcyjności czasopisma, chociaż nikt mądry nie zaprzeczy, że i systemy sloganów, ustawicznego powtarzania i pozorów oczywistości (pisze się o czymś jakby nikt nigdy w to nie wątpił i jakby wszyscy myśleli podobnie) — nie mogą być zapoznane. Te i wiele innych zagadnień zaliczyćby należało do „sztuki pisania i redagowania”. Na razie jednak wypadła się ograniczyć do owej optycznej atrakcyjności czasopisma.

WYPADEK SKRAJNY: PRASA AMERYKANSKA

Klasyfikując prasę, wymienia się często, nie bez racji, jako wypadki skrajny — przykład prasy amerykań-

skiej. Goniłwa za sensacją, wyłącznie merkantylny charakter wielu wydawnictw, zupełne niemal pomijanie względów natury wychowawczej czy etycznej na korzyść szablonu plotkarsko-kryminalnego. Zapewne, treść 90 procent dzisiejszych pism w USA możnaby przy pomocy obiektywnego rozumowania zdyskwalifikować.

Wydaje się jednak, że antagoniści amerykańskiego typu czasopisma wpadli w drugą skrajność, wychodząc z błędnego założenia, że sprawy prywatne, osobiste, domowe — właśnie trochę „plotkarskie” — w ogóle nie są ważne. A przecież one to, równoległe do spraw publicznych, są kręgiem zainteresowań przeciętnego czytelnika.

Oczywiście, należy tu pamiętać o zasadzie nie schlabiania gustom publiczności, należy pamiętać o społecznych moralnych i estetycznych względach.

Oczywiście — lecz co rozumiemy przez termin „prasa”? Prasa powinna być — poza wszystkim innym — zwierciadłem życia nas otaczającego. I to wszystkich przejawów tego życia. Dlatego gazeta wisi w próżni, jeżeli donosi o wydarzeniach odległych tysiące kilometrów, pomijając małe lecz jakże wielkie w skali zwykłego śmiertelnika wypadki, rozgrywane się na najbliższych ulicach. A przecież nie małe miejsca w życiu człowieka zajmują dom, kuchnia, ubranie, rozrywka, miłość itp.

Ale do rzeczy.

Tak więc prasa amerykańska obok paradoksalnej hipertrofii sensacji i lokalizmów — ma do zanotowania niewątpliwe sukcesy formalne. Ilustracyjny poziom amerykańskich czasopism (technika i aktualność) jest bardzo wysoki. Np. obsługi telegraficzna Associated Press — o czym pisał K. O. K. w jednym z poprzednich numerów „Dzisiaj i Jutro” — przekazuje swoim abonentom po 60 zdjęć w ciągu 18 godzin. Niestety tematyka tych ilustracji jest często wątpliwego gatunku. To samo tyczy się bogactwa i rozmaitości czcionek tekstowych i tytułowych przy bezsensownym wyolbrzymianiu i ultrasensacyjnym brzmieniu. Prasa amerykańska przyciąga poza tym czytelnika rysunkami, jedno i więcej kolorowymi, ale najczęściej wykonanymi bardzo dobrze, oryginalnym systemem łamania i wieloma innymi przyrętami.

Wszystko to czyni wrażenie kuglar-skich sztuczek, obliczonych na złowienie mało inteligentnego czytelnika. Lecz trzeba przyznać, że sztuczki te są niejednokrotnie naprawdę ciekawe, interesujące lub zabawne.

NUDA

Na drugim biegunie stoją ci, którzy twierdzą: ważna i istotna jest tylko treść czasopisma. Ich zdaniem sposób ujęcia i szata zewnętrzna — to znamiona drugorzędne. To tylko język, przy pomocy którego wyraża się myśl.

Słusznie. Ale można się wszak posługiwać językiem pięknym, a można także wyrażać się prostacko lub nieciekawie. I choćby sens wypowiedzi był jaknajślusniejszą — pozostanie nieudolność formalna.

Cudowne są pieśni Mozarta czy Czajkowskiego, lecz by oddać piękno w nich zaczarowane, trzeba umieć śpiewać. Wiele interesująca jest filozofia Spinozy. By jednak wyłożyć płynnie jej zasady, trzeba dysponować zapasem słów, przekraczającym nieco liczbę 1000.

To jedno. I zagadnienie drugie: nuda.

Jak wiadomo dyscyplina wewnętrzna i wysoki stopień inteligencji potrafią zwałczyć nudę. Większość czasopism przeznaczona jest jednak dla przeciętnego konsumenta, który rzadko osiąga wysoki stopień wyrobienia umysłowego. Człowiek ten nie będzie czytał nudnej gazety. A nie wolno zapomnieć, że definicja czasopisma mówi między innymi o uniwersalnej, powszechnie interesującej treści i formie.

Ileż razy bierze się do ręki dziennik, przerzuca kartki i — nie widzi się absolutnie nic. Przed oczyma majaczą tylko wielkie, szare plamy. Zaden żywy akcent, żaden atrakcyjny szczegół nie pobudza myśli do pracy. Wszędzie pelza nuda, zastępując z powodzeniem nasenny proszek. A treść? Może jest i godna uwagi, pożyteczna, interesująca. Kto wie, może?...

GWOZDZ DO TRUMNY

Gazeta, to w dużym stopniu wynik improwizacji. Prokurują ją ludzie najczęściej utalentowani, lecz dosyć powierzchni. Gazeta nie jest Biblią. Zywot ma krótki.

Czasopismo z natury rzeczy nie może więc gardzić pewnym „spulchnieniem”. I zawsze dobrze jest, gdy jego redaktorzy i wydawcy pamiętają, że nawet bardzo dla zdrowia pożyteczne lekarstwo należy czasem podać z dobrym owocowym sokiem. Lepiej, by pacjent wypił je z owym sokiem, niżli by miał w ogóle odstawić...

Jeżeli gazeta rości sobie pretensje do tej nazwy, powinna mieć na celu rozpowszechnianie wiadomości. Aby rozpowszechnić, trzeba znać środki, które do tego służą i trzeba je umieć i chcieć stosować. Gazeta nudna, arcypoleczna i arcyfundamentalna, poruszająca zagadnienia księżycowe, a przy tym szara graficznie — to nie jest gazeta. To gwóźdź do trumny.

Symbole, hasła, „slogany” i etykiety wpływają na naszą mentalność w stopniu bez porównania większym, niż długie wywody, najbardziej rzeczowe i słuszne (Henrik Jabłoński: „Opinia, parlament, prasa”).

Otóż właśnie: czasopismo musi mieć etykiety. Te etykiety stanowi jego szata, forma, układ. Rzecz jasna poza etykietą istnieje jeszcze kwestia zawartości. Lecz sama zawartość jest jak dobre wino w podejrzanego wyglądu butelce. Trzeba zaryzykować próby, by się przekonać o smaku. Nie wszyscy są jednak koneserami czy namiętnymi pijakami. A ci wołają takiej butelki nie otwierać...

Karol Kornik

Zjazd naukowo-literacki

W roku jubileuszowym Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego oraz w przededniu Kongresu Nauki Polskiej, staraniem Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, oraz Instytutu Badań Literackich, odbędzie się w Warszawie w dniach 4—7 listopada 1949 r. Zjazd naukowo-literacki.

Zgłoszenia udziału w Zjeździe należy kierować pod adresem Seminarium Historii Literatury Polskiej U. W., Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 26/28, na ręce mgra Jerzego Pelca, do dnia 1 października br. Karty uczestnictwa upoważniające do korzystania z ulg i świadczeń oraz szczegółowe programy Zjazdu będą rozesłane po otrzymaniu zgłoszeń, w ilości przewidzianej dla poszczególnych ośrodków.

(—) prof. Stefan Żółkiewski Dyrektor Instytutu Badań Literackich
(—) prof. dr Julian Krzyżanowski Prezes Tow. Literackiego im. A. Mickiewicza

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

Jeszcze w sprawie Kisielewskiego i srogiej dyskusji

Szanowny Panie Redaktorze!

W przeciwieństwie do Stefana Kisielewskiego nie znam osobiście ob. Jerzego Główni, pozwolę sobie jednak na dojrzenie paru uwag do dyskusji toczącej się na łamach tej rubryki między wymienionymi obywatelami. Ob. J. Główni — jeśli dobrze rozumiem — atakuje Kisielewskiego za jego „obronę” liberalizmu. Orzeczoną adwersalną autora „Polityki i Sztuki” uczył się terminu „liberalizm” (n. b. niezbyt szczęśliwie i ostrożnie, a także niezbyt trafnie używanego przez Kisielewskiego) i wytacza sferk zarzutów pod adresem owej doktryny. Ob. J. Główni wyważa otwarte drzwi. Mało, wprowadza w błąd czytelników sugerując jakoby Kisielewski rzeczywiście bronił czystego liberalizmu, skompromitowanej zasady *laissez faire* — *laissez passer*. Tymczasem — co jasno wynika z artykułu „Jak pojmuję liberalizm i z innych wypowiedzi autora „Sprzeciwienia” — jest on zwolennikiem doktryny umiarkowanego interwencjonizmu państwowego, redukcji prerogatyw wpływów jednostek, racjonalnego uregulowania stosunku do własności i — co najważniejsze — radykalnej reformy i uzdrowienia rozdziału dochodu społecznego, co jest najważniejszym, moim zdaniem, wskaźnikiem rzeczywistej sytuacji gosp. jednostki, o czym tak łatwo lubimy zapominać...

Czy zaa tak pojętej koncepcji ustrojowej, zaa neoliberalizmu „ukaże się do brze nam znany — jak pisze ob. J. Główni — to jeszcze nie wiadomo. Wyda mi się, że wcale tak być nie musi. Istotą bowiem kapitalizmu (tu przyklasną mi marksiści) jest dysproporcja między społecznym sposobem wytworzenia, a prywatnym sposobem zawłaszczania wytworzonych dóbr przez właścicieli środków produkcji i jako skutek konieczny takiego stanu rzeczy, perturbacje, przerosty w rozdziale dochodu społecznego i antagonizmy klasowe. Formalnym wyrazem tego kapitalistycznego systemu produkcji jest wolna umowa najmu kwitująca płacą wszelkie prawo do wytworzonych dóbr, pozbywająca go naturalnego, oczywistego i sprawiedliwego udziału w wytworach własnej pracy. Jeśli więc zreformować wzajemny stosunek pracy i kapitału, jeśli ustawowo zapewnić robotnikowi udział w zyskach (pozostaje zasadnicze tutaj zagadnienie technicznego oblicza i radykalności całej reformy) to podetnie się tym samym korzeń systemu kapitalistycznego. Czy o modelu gospodarczym, o którym pisze, działającym na zasadzie współwłasności środków produkcji przez małe zespoły obsługi, a nie będącym systemem kolektywistycznym, takim do jakiego dąży kraje Europy wschodniej, czy w modelu takim opierającym się o wolny rynek, rynek, a nie o gospodarkę planową sensu strikto, nie pojawiają się znane i tragiczne w skutkach kryzysy gospodarcze? Nie pora tutaj na szczegółową analizę skomplikowanego zjawiska przesilenia gosp., ani na wywód o wpływie naszcicowanego systemu na mechanizm tworzenia się kryzysów. Teoretycznie analiza zjawiska upoważnia w każdym razie do tezy, że w ustroju takim nie przewiduje się periodycznych kryzysów gospodarczych. Są one na szczęście związane z kapitalizmem i nie mają charakteru przedustrojowego.

Oczywiście nikt nie ma monopolu na nieomyślność. Być może, że neoliberalizm przy praktycznej realizacji mógłby się skompromitować, tak jak skompromitował się liberalizm i inne ustroje gosp. Dotychczasowy jednak stan wiedzy i przeprowadzane doświadczenia

niczym nie upoważniają do takiego sądu. Zresztą nie przesądzając wartości samego systemu stwierdzić trzeba, że wolna jest droga dla tych, którzy nie godzą się z kapitalizmem i mają zastrzeżenia pod adresem gospodarki planowej. Ludzie ci szukają i wierzą w trzecie wyjście, a zarysowana koncepcja wydaje się zadawała te oczekiwania.

Nie sądzę, w przeciwieństwie do ob. Główni, aby ideały liberalizmu były zupełnie skompromitowane. Skompromitował się system ich wykonania, owe konsekwencje jakie sprowadziła doktryna nerska, bezduszna i zapominająca o człowieku ich realizacja. Ale oprócz wad metody, liberalizm niósł na swoich szlachech zawsze aktualne, żywe i atrakcyjne hasło wolności, hasło ogólnoludzkie i przedustrojowe. Współcześnie wśród wielu innych forsownych haseł nie traci ono swojej atrakcyjności i wolno szukać dróg na których ów ideał wolności nie wyrodziłby się w swoje zaprzeczenie tak jak XIX w. liberalizm wyrodził się w kapitalizm. Dlatego należy oddzielić zasadę od metod którymi dotychczas chciano ją realizować, należy baczyć aby przy ew. nowych próbach realizacyjnych nie sprzeniewierzyć się celowi zasadniczemu: szacunkowi do człowieka i trosce o pełny jego rozwój jako samostannego, autonomicznego i niepowtarzalnego bytu, który szuka zrozumienia swojej roli na świecie i odpowiedzi na pytanie czym jest, i czym jest to co go otacza i kształtuje.

Jeszcze parę uwag. J. Główni twierdzi, że Kisielewskiego nikt dotychczas nie może zrozumieć, jak również K. Koźniewski i Jakimiak.

Cenię wysoko Koźniewskiego jako pisarza, ale nie mogę zgodzić się z tym aby reprezentował on całe społeczeństwo. Również bardzo daleko do tego ob. ob. Jakimiakowi i Główni.

Być może, że jak pisze ob. J. Główni, ludzkość zamknęła rozdział pt. Liberalizm. Ale nie zamknięto jeszcze części zatytułowanej „Człowiek” — a o niego chodzi. Karty są wolne, czekają na ludzi, którzy je opiszą, a nie tylko odczytają.

Proszę wybaczyć mi pewne uproszczenie i skróty jakie poczyniłem z uwagi na szczupłość miejsca. Łączę dla Redakcji i uczestników dyskusji należne wyrazy szacunku.

J. P. Gawlik

W poszukiwaniu zaginionych powstańców

Szanowny Kolego Redaktorze! Od chwili ukazania się mojej książki „Przemarsz przez piekło”, obrazu-

jącej dni zagłady staromiejskiej dzielnicy, otrzymuję bez przerwy listy od moich czytelników z najróżnorodniejszymi zapytaniami o osoby, które zaginęły w okresie konspiracji i w czasie walk powstańczych w stolicy.

Na wiele z nich nie umiem odpowiedzieć, więc starym zwyczajem zwracam się do naszych czytelników z prośbą o odpowiedź.

Będzie to bodaj już dziesiąty list ogłoszony na łamach naszego tygodnika.

Bardzo Was przepraszam, Kolego Redaktorze, za nadużywanie gościnności, ale usprawiedliwia i ośmiela mnie to, że „Przemarsz przez piekło” był po raz pierwszy drukowany w „Dziś i Jutro” i fakt, że możemy przynieść ulgę rodzinom poległych i zaginionych.

Pani Janina Siedlecka, Warszawa—Żoliborz, Dygasińskiego 3, zapytuje o swojego męża, Stanisława Siedleckiego, kapitana Stacha, noszącego w okresie konspiracji nazwisko Stefan Stankiewicz. Aresztowany 26.II.1943 r. przebywał na Pawiaku, a potem w więzieniu na Mokotowie. Wyrokiem sądu Sondergerichtkammer skazany został na śmierć i rozstrzelany wraz z 19 więźniami z Mokotowa i jedną kobietą z więzienia na Daniłowiczowskiej w dniu 16 czerwca 1944 r. Zona zapytuje, gdzie ta grupa została rozstrzelana i gdzie ciała zostały pochowane.

Pan Mieczysław Wadecki, Łódź, Tylna 6 m. 11, zapytuje o swoją cór-

kę Irene, lat 18, pseudonim „Błyskawica”, z batalionu im. Kilińskiego, kompania VI. Zginęła na ulicy Górskiej. Ojciec prosi świadków śmierci o wiadomości w jakich okolicznościach zginęła i gdzie jest pochowana.

Pani Zofia Pyzykowska, Warszawa, Żoliborz, Słowackiego 38/46 m. 5, zapytuje o swojego syna Henryka, lat 20, absolwenta Konserwatorium, Matka nie zna jego pseudonimu. Walczył na Woli, w batalionie „Antoni”, kompania „Aniela”.

Matka prosi Kolegów i przyjaciół o wszelkie wiadomości.

Pani Czajło, Warszawa, Targowa 36, zapytuje o swojego syna Jerzego, noszącego pseudonim „Zabek”, jako strzelca walczący na Starówce w batalionie „Wojskowej Służby Ochrony Powstania” „Dzik”. Matka prosi kolegów o wiadomości.

Pan Kazimierz Stefański, Polanica-Zdrój, Traugotta 7, prosi o informacje i adres swojego przyjaciela, podchorążego „Wiktora”, Czesław Korzycki, z batalionu „Wigry”, kompania „Roman” który wraz z swoim plutonem przeszedł kanałami do śródmieścia.

Pani Danuta Kobuszewska, Warszawa, Kenwickowska 2, prosi o wiadomości o swoim mężu, por. Januszu — Bočku, który w czasie konspiracji nosił nazwisko „Michał Busłowicz”, był zrzutkiem z Anglii.

W czasie powstania znajdował się w dowództwie grupy „Północ” na Starówce. Przeszedł kanałami do

śródmieścia. Ostatnio widziano go po kapitulacji w obozie przejściowym w Ożarowie. Dalej ślad zaginął.

Pan Gustaw Szumski (wiadomości kierować do redakcji) zapytuje o kapitana Rysia (nieprawdzone nazwisko Sokołowski) i o podporucznika Lechnka. Obaj z kwatremistrzosiwa batalionu „Wigry”. Pozostali na Starówce, gdy cały batalion przeszedł kanałami do śródmieścia. Poza tym prosi o wiadomości o ppor. Czortku i ppor. Korwinie, dowódców plutonów z I kompanii wigierskiej.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Stanisław Podlewski

Zapomniana Królowa Jadwiga

PANIE REDAKTORZE!

„Tygodnik Powszechny” z dn. 17.VII 1949 r. z okazji 550-letniej śmierci królowej Jadwigi poświęca jej cykl artykułów obrazujących życie i działalność tej świętobliwej i nieprzeciętnej królowej.

Dziwnym więc wydaje mi się fakt przeoczenia tej daty przez Redakcję „Dziś i Jutra”, tym bardziej, że jak wiadomo w Krakowie toczy się proces beatyfikacyjny królowej Jadwigi przed trybunałem ustanowionym przez ks. kardynała Sapiechę.

Ks. Jan Rostworowski w swoim artykule — który jest jednym z wyżej wspomnianego cyklu — tak pisze:

„Przechodząc przez duszę Jadwigi, jak promień słońca przez kryształ, wchłonął w siebie ideał polski coś z tej wysokiej kultury duchowej, która u Andegawów mimo przeróżnych braków, była szacownym dziedzictwem świętych, najpiękniej skupionym w najmłodszej Ludwikowej córce. To odczuł głęboko naród i dlatego od początku patrzył na Jadwigę jako na swoją świętą”. I dalej: „Coś nie zostawiła nam Jadwiga potomków swoich na tronie, zostawiła nam, rzec można siebie, zawsze żywą, jako wzór i jako orędowniczkę u Boga”.

Załowac więc należy, iż przeoczenie Redakcji nie pozwoliło czytelnikom „Dziś i Jutra” na zaznajomienie się z sylwetką tej szlachetnej i godnej upamiętnienia królowej.

Sądzę, że Pan Redaktor zezwoli na opublikowanie niniejszego listu w dziale: „Czytelnik uważa, że” za co z góry dziękuję, kreśląc się z poważaniem.

J. Gibalski

DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO”

„Znawca” wsi

Zastanawiałem się długo o co właściwie chodzi Kandydowi z „Kuznicy” nr 28 w jego polemice z K. Turowskim w sprawie kultury wsi. Kandyd pisze: „Tygodnik Powszechny” nie chce również, by Panu Bogu odbierano pióru i mimo, że żyłoby sobie elektryfikacji wsi, wolałby władzę nad elektrycznością zostawić w ręku Pana Boga. „Tygodnik Powszechny” chciałby, aby: „kultura i cywilizacja szła przez wieś planowo, krok za krokiem nie omijając małych i starych, spraw drobnych i wielkich, ideowo ważnych i życiowo koniecznych”.

Wypowiedź ta nie podoba się Kandydowi, który pragnie wszystko załatwić jednym skokiem. Widocznie nie zna on zupełnie wsi polskiej — niech więc nie zabiera głosu w sprawie, w której jest ignorantem. Wiem nie „kulturalni się”, jednym zamachem na wieś, wymaga to właśnie planowej, systematycznej pracy, by usunąć różnice dzielące ją od miasta. O tym wiedzą wszyscy, ale o tym nie wie, niestety, Kandyd, który „czepia się” nie istoty zagadnień, a wyłącznie o aluzje do problemów światła i ciepła i jak można wnioskować z wylicza K. Turowskiego za tego rodzaju „przewinienia”.

Bardzo szczerzy panie Kandyd. Na pewno podpisałby się pan chętnie pod artykułem K. Turowskiego, którego pozytywne wypowiedzi, pełne wnikliwych obserwacji są stwierdzeniem poznanych faktów i wyciągnięciem z tego odnowiednio uargumentowanych wniosków.

Lech Kandydowi nie odpowiada widocznie co innego, więc „hejże na Sapiechę”.

Gdyby on sam ten artykuł napisał... ale niestety...

To już nie jego wina.

Witold Orzechowski

NOWOŚĆ! NOWOŚĆ!

JANA DOBRACZYŃSKIEGO

ŚWIĘTY MIECZ

Powieść o świętym Pawle
Do nabycia we wszystkich księgarniach

Cena 1200 zł.

NADEŚLANO

WYDAWNICTWO PRASA WOJSKOWA — 1949

Dr Stanisław Tokarski: Wskazania i przeciwwskazania do uprawiania sportu zawodniczego i ćwiczeń gimnastycznych przy schorzeniach chirurgicznych i ortopedycznych. Modele okrągowe dla początkujących opracowali R. Glaberman i E. Szczerek. Biblioteka Ligi Morskiej, str. 150

Aleksander Bek: Szosa Wołokomska, Biblioteka Żołnierza, str. 114.

Tak pracuje Zabrze — Wschód, str. 79.

BIELIOTEKA SZKOŁY GŁÓWNEJ HANDLOWEJ, WARSZAWA

Hanna Mogilska: Wspólna własność ziemi w polskiej publicystyce lat 1833 — 1860, str. 81.

GEBETHNER I WOLFF — W-WA

K. Bunch: Śladem pradziada — powieść z czasów Bolesława Śmiałego, str. 423.

Jan Parandowski: Godzina śródziemnomorska, str. 239.

PAŃSTWOWE ZAKŁADY WYDAWNICTW SZKOLNYCH

Eugeniusz Śluszkiewicz: Państwo i społeczeństwo w dawnych Indiach, str. 128.

WYDAWNICTWO LUDOWE WARSZAWA 1949

Henryk Syska: Przez walkę do zwycięstwa — szkice publicystyczne z przeszłości ruchu ludowego.

Henryk Syska: Od „Kmiotka” do „Zarania” z historii prasy ludowej, str. 271.

WYDAWNICTWO ŚW. KRZYŻA W OPOLU

Ks. dr Piotr Chojnacki prof. U. W.: „Wstęp do filozofii i zarys ontologii”.

S. Maria Immakulata, klaryska, „Błogosławiona Kinga”, str. 116.

„Wierze” — zebrał i ułożył Ks. Jan Zięba.

Ks. Franciszek Dobrowolski: Sakrament Ducha Św.

Sieci rybackie cienkie i grube
Węże przeciwniarowe łobne

Zachowajcie długie i cienkie węzły przeciwniarowe — to jest nam opinie klientów — niezmiennie doskonała jakość naszych wyrobów

WYTWÓRNIA WYROBÓW TKACKICH
inż. WITOLD IZDEBSKI i S-ka
„IWIS” SP. AKC. GRODZISK MAZ. SPÓŁDZIELCZA 2-7067